

# KRONIKA RODZINNA.

PISMO DWUTYGODNIOWE.

## WARUNKI PRENUMERATY:

Prenumerata wynosi w Warszawie: rocznie.....rsr. 4 kop. —  
półrocznie....." 2 " —  
kwartalnie....." 1 " —  
Na prowincji i w Cesarstwie dla nad-  
syłających pieniądze na prenumera-  
tę wprost do Redakcji: rocznie....." 5 " —  
półrocznie....." 2 " 50  
kwartalnie....." 1 " 25

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych, w Ekspedycji Gaset, w  
wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych i w Redakcji, przy ulicy  
Mazowieckiej, dom hr. Zamojskiego Nr. 1346; W Krakowie, w księgarni pana Prio-  
leina; w Poznaniu, w księgarni p. Leitgebnera; we Lwowie, w księgarni pp. Ciał-  
kowskiego i Seyffartha.

SPIS ARTYKUŁÓW. Mikroskop i cuda niewidzialnego świata, przez M. J. — Dramacik domowy. (Wspomnienia młodej dziewczyny) przez Sobiesławę Wincentę. (Ciąg dalszy). — Wiadomości literackie. (Marya Amelia królowa francuzów), przez A. B. — Listy z Petersburga, VII, przez Artura Dolińskiego. — Lew w klatce, powieść z angielskiego Miss C. M. Yonge, przekład Z. M. (c. d.)

## MIKROSKOP

### i cuda niewidzialnego świata.

(Pogadanka naukowa.)

Własności soczewek. — Mikroskop słoneczny. — Krystalizacja. — Kropla wody. — Dzierganki i Okrzeski. — Owady. — Ubarwienie zwierząt. — Ciało ludzkie. — Rośliny.

Prawdziwie niepojętą jest rzeczą, że starożytni, znając od niepamiętnych czasów szkło, nie zdobyli się przecież ani na mikroskop, ani na teleskop. A jednak ileż to drobnych okoliczności mogło codziennie naprowadzić uczonych na ślad tego zjawiska, które stanowi własności soczewek.

Ale ówczesnych uczonych inne zajmowały myśli; oni suszyli mózgi nad zawilemi filozoficznymi kwestyami, cóż mógł dla nich znaczyć przedmiot tak błahy, jak bursztyn przyciągający drobne niteczki, lub promień światła łamiący się w szkle. Seneka wspomina tylko nawiasem, iż litery pisma, widziane przez banię szklaną wodą napełnioną, wydają się znacznie większe.

W jedenastym wieku ery naszej, a nawet jak niektórzy utrzymują już w ósmym, wyrabiano dla starców okulary ze szkieł wypukłych, a dopiero przy końcu szesnastego wieku jawi się pierwszy mikroskop. Pozostawki jego osłonięte są mgłą tajemniczą, nawet nazwisko wynalazcy nie przeszło do potomności, bo podanie które przypisuje Zacharyaszowi Jansen z Middelburga wynalazek mikroskopu, nie jest wsparte historycznymi dowodami. Widocznie nie przywiązywano zrazu do tego wynalazku tak wielkiej wartości, niejeden zapewne uważał to szkiełko za jakąś sztuczkę dowcipną, za jakąś nową zabawkę. A jednak te szkiełka odkryły nam nowy świat cudów, świat którego istnienia nikt nie domyślał się nawet. Dziś doprowadzono mikroskop do wysokiej doskonałości, a któż odważy się powiedzieć, że na tym już koniec?

Przyczyna powiększania przedmiotów w mikroskopie jest bardzo prosta. Promień światła przechodzący z ciał rzadszych w gęstsze, lub z gęstszych w rzadsze, zbacza ze swej drogi, a biegnąc zawsze w prostym kierunku, w miejscu zetknięcia się tych dwóch ciał, przez które przechodzi, jest jakby złamany. Ztąd zjawisko to nazywa się łamaniem światła. Któż nie widział jak ki-

jek w wodę zanurzony wygląda niby przelamany? Trzeba dodać, że promienie prostopadłe nie załamują się tylko padające ukośnie do powierzchni, w którą wchodzi. Kijek zanurzony prostopadłe nie wydaje się przelamany.

Szkło jest znacznie gęstszym od powietrza, posiada też w wysokim stopniu własność łamania promieni; gładka tafla załame je wszystkie w jednym kierunku, ale weźmyż teraz soczewkę, a łatwo zrozumieć, co się z promieniami stanie. Jeśli naprzykład padnie na nią równoległe wiązka słonecznych promieni, po samym środku soczewki padające promienie prostopadłe nie załamią się wcale, ale im bliżej brzegu, tem ukośniejszym będzie ich kierunek do płaszczyzny, na którą padają i tem mocniej w szkle się załamią. Z postaci soczewki wypada, że promienie te nachyła się jedne do drugich i za soczewką znajdzie się pewne miejsce, ogniskiem zwane, w którym się wszystkie spotkają z sobą, czyli zgromadzą. Któż nie zna szkiełek do zapalania fajki? toż to są właśnie soczewki gromadzące dostateczną ilość słonecznych promieni, ażeby ogień zapalić. Podróżny Kane w okolicach bieguna północnego, w braku zapalek lub krzesiwka, rozpałił ogień za pomocą soczewki wyrabanej z lodu.

Ale jakimże sposobem ta własność łamania promieni może sprawić powiększenie przedmiotów widzianych przez szkło soczewki? Weźmy najprostotszy mikroskop, to jest zwyczajną lupę, umieścmy pod nią jakiś przedmiot. Rzecz prosta, że promienie wychodzące ze wszystkich punktów tego przedmiotu, przechodząc przez szkło soczewki, ponachylają się do siebie, i tak ponachyla e wpadną nam do oka. Ale cóż się dzieje? oko nasze do tych zygzaków, do tych linii łamanych stosować się nie może, wyprostowuje je sobie, nie widzi też przedmiotu w tem miejscu, gdzie się rzeczywiście znajduje, ale widzi obraz jego urojony, tak zupełnie, jak gdyby wszystkie promienie wpadające do oka, aż do samego przedmiotu biegły w tym samym ukośnym kierunku. O ile też te linie ukośne zbliżają się do siebie w oku naszym, o tyle ze strony przeciwnej oddalają się i tem samym tworzą obraz mniej lub więcej rozszerzony, powiększony.

Jednak takie powiększenie zapomocą jednej, choćby najmocniej wypukłej soczewki, nie może być nigdy bardzo znaczne; mikroskop składać się musi z kilku szkieł tak zastosowanych do siebie, że obraz nieraz je-

den, ale kilka razy jest powiększony. Tu nowa trudność powstaje; promienie w taki sposób rozproszone, nie oświetlają dostatecznie przedmiotu, wszystko się zaciemnia i potrzeba znów zapomocą osobnej soczewki lub wklęsłego zwierciadła, zgromadzić w to miejsce wiązkę promieni. A i tak niewprawne i niedoświadczone oko z łatwością może zabłądzić w tej dziwnej krainie. Najmniejsza skaza na szkło, niewidzialna dla oka nieuzbrojonego, tu przybiera rozmiary olbrzymie, pyłek zabłąkany na soczewce, przedstawia kształty dziwaczne, które nieraz w błąd wprowadzić mogą patrzącego. Do tych badań wielkiej potrzeba cierpliwości i wytrwałości niepospolitej.

Oprócz obrazów urojonych, soczewki tworzą także prawdziwe obrazy, dające się chwycić na jakiegokolwiek ścianie. Do utworzenia obrazu rzeczywistego, promienie muszą przejść przez ognisko soczewki, tam krzyżują się z sobą i znów się rozchodzą w przeciwną stronę. Tu także powiększenie obrazu zależy od większego rozszerzenia promieni, a skrzyżowanie tych promieni w ognisku soczewki sprawia, iż obraz ukazuje się odwrócony. Na tej własności zależy urządzenie latarni czarnoksięskiej, a także mikroskopu słonecznego i fotoelektrycznego. W mikroskopie słonecznym osobna soczewka gromadzi na przedmiot do oglądania przeznaczony wiązkę słonecznych promieni, inne soczewki przenoszą obraz tak oświetlonego przedmiotu na ściankę oddaloną, powiększając go do olbrzymich rozmiarów; tam już nie tylko jeden uczonec, ale wszyscy obecni mogą podziwiać ten obraz. W mikroskopie fotoelektrycznym łuk elektryczny światła oświetla przedmiot w miejscu słonecznych promieni, tak jak świeca w czarnoksięskiej latarni.

A teraz zajrzyjmy do tej krainy cudów, którą rozciągają przed nami te narzędzia tak proste, a tak dziwne wywierające skutki.

Oto najprzód pomiędzy tafelkami mikroskopu umieśćmy kroplę roztworu, w którym jest rozpuszczona odrobina jakiej soli. Woda ulotni się natychmiast od wielkiego gorąca, które sprawiają zgromadzone w tem miejscu promienie światła, a sól ułoży się w kryształy. — Częsteczki zbiegną się, kierowane siłą niepojętą i ułożą się w kształty zupełnie jednostajne. Każda sól utworzy kryształ odmienny, sobie właściwy, ale nigdzie nie znajdzie najmniejsza pomyłka, wszystko się odbędzie w zadziwiającym porządku. Tam gdzie powstanie jeden sześciąt, tam tysiące sześciątów podobnych uszykuje się przy nim, ostrosłupy piętrzą się na ostrosłupach, igiełki najdelikatniejszych kształtów płaczą się, spletają, tworząc jakiś las dziwaczny. Najcudniejsze barwy widok ten jeszcze czarowniejszym czynią. Znajdziemy tu blaski rubinów szmaragdów, szafirów, a każdy kryształ ma swoją barwę właściwą, równie jak postać. A jednak te cechy nie są niezmiennie; pod wpływem pewnych przyczyn, naprzykład przy nateżeniu ciepła, niektóre ciała krystalizują się w postaci odmienne, ale wszystkie te zmiany ulegają pewnym niewzruszonym prawom, ruchy najdrobniejszych cząsteczek odbywają się równie porządku, jak ruchy ciał niebieskich po drogach niezmiernych.

Świat niewidzialny kryje w sobie wiele innych zjawisk, niemniej zadziwiających. W miejscu tej kropli roztworu, weźmy kroplę mętnej wody. Może być coś bardziej zwodniczego, jak świadectwo naszych zmysłów, a osobliwie wzroku? W tej kropelce zwyczajnej wody, najbystrzejszy wzrok nic zgoda dopatrzeć nie jest w stanie, ale przypatrzmyż jej się przez mikroskop. Ta drobna kropla jest morzem, w którym roją się najdziwa-

czniejsze potwory. Tu węże żałoczne chwytają jakieś drobniejsze od siebie istotki, tam wrotki, do roślin podobne, wyciągają giętkie ramiona, otwierają kielichy swe, naksztalt kielichów kwiatowych, czyhajac na zdobyć; ówdzie stentor, olbrzym tych mórz tajemniczych, ma postać trąby, drapieżny i żałoczny jak haja, to postach drobnych monad, które nielitościwie pożera, bo i ten światek mały, równie jak nasz większy świat, żyje rabunkiem i prawo silniejszego w nim rządzi. Owe monady, które tym wszystkim żarłokom służą za pastwę, są to istotki tak niezmiernie małe, że w najpotężniejszym mikroskopie wyglądają naksztalt ruchomych punkcików, których postaci niepodobna określić. A jednak i ten drobiazg ma ruch i żywi się czemś, to ciałko składa się zapewne z mnóstwa cząsteczek rozmaitych, czemże są te cząsteczki najdrobniejsze, te atomy, które umysł człowieka, potężniejszy od zmysłów, potrafił pojąć, lecz pochwycić nie zdołał.

Komużby to na myśl przyszło, patrząc okiem nieuzbrojonym na pyłek biały, który kreda na palcach zostawia, że to są wszystko mikroskopiczne muszelki, szczątki drobnych istotek, które żyły niegdyś w morzach przedwiekowych. Do niedawna kredowe dzierganki, zwane także *otworniczkami* lub *dziurkowcami*, liczone do istot zaginionych, lecz nowsze poszukiwania wykryły na dnach morskich rodzaj szlamu, a przy bliższem badaniu pod mikroskopem okazało się, że ten szlam zawiera w sobie niezliczone mnóstwo żyjących dzierganek. I dziś więc na dnach morskich tworzą się nowe pokłady kredy. Tu dopiero widzimy, czego to liczbą dokazać można; bo trzeba wiedzieć, że znaczna część skorupy ziemskiej jest zszpem owych mikroskopowych szczątków. A żeby mieć wyobrażenie o rozmiarach tych żyjatek, dość powiedzieć, że kredę można utłuc w moździerzu na najdelikatniejszy pyłek bez naruszenia owych muszelek, które są zawsze o wiele drobniejsze od tego pyłku.

I świat roślinny posiada podobne karły. *Diatomeae* czyli *okrzemki* są to roślinki mikroskopowe, które rozrastając się z niezmierną szybkością, tworzą także znaczne obszary gruntu. Nieraz człowiek musi się bronić przeciw tym lillipucim zastępom. W portach Bałtyckiego morza okrzemki wznoszą tamy, które mogłyby zamknąć przystęp okrętom, gdyby ich nie usuwano z wielkim trudem. Drobiazg ten i na lądzie gospodaruje w najlepsze. Przed laty kilkudziesięciu, Berlinczycy spostrzegli z przerażeniem, że w pewnej części miasta domy bez najmniejszej przyczyny zaczynały się rysować i najmocniejsze mury pękały, grożąc upadkiem. Żaden budowniczy nie umiał odgadnąć powodu tak dziwnego zjawiska. Powód ten wykrył dopiero mikroskop uczonego Ehrenberga. Pokazało się, że gdy Berlinczycy budowali się na ziemi, pod ziemią znów budowały się okrzemki i na nic nie zważając, gotowe były wypchnąć fundamenta i powywracać mury tych zaborczych mieszczan, którzy wkroczyli w ich siedzibę. Nie było rady, mieszczanie na seryo bronić się musieli, znosić znaczne warstwy gruntu i mocne murować fundamenta, a żeby mieszkania swoje od tej napaści zabezpieczyć.

Jeśli od niewidzialnych żyjatek przejdziemy do zwierząt większych, i tu mikroskop wykryje nam mnóstwo szczegółów, których oko nieuzbrojone dojrzeć nie zdoła. Skrzydła owadów, łapki, trąbki, żądła, ukaza się nam w innym zupełnie świetle. Najpospolitsza, naprzykrzona mucha, zachwyci nas doskonałością swoich kształtów. Na przezroczystej tkance skrzydełek rysuje się sieć jakby żyłek najdelikatniejszych, łapki, złożone z pię-

ciu części, ukazał na końcach dowcipne przyrządy, co naksztalt baniek felczerskich, za pomocą których muchy z taką łatwością nawet na suficie utrzymać się umieją. Pyszczek składa się z tyłu i tak rozmaitych części, że ich opisać niepodobna. Zwierzęta doskonalsze, a nakoniec i człowiek, mają prostsze daleko przyrządy do jedzenia; trzeba i to dodać, że nie popisują się niemi, tak jak owady, bo język i zęby są ukryte w ustach i niejedna panienka potrafi tak zręcznie spożyć porcję bifsteeku, że nawet ząbków nie pokaże. Ale owady cały swój rynsztunek, niezmiernie skomplikowany, mają umieszczony na zewnątrz, a wszystkie te najeżone kolce, ostrza, szczypczyki, nadają im powierzchowność drapieżniejszą od hyen i tygrysów. A co to za misterny mechanizm tych żadeł, tych przyrządów ssących, które nam nieraz dokuczliwie dają się we znaki.

Mikroskop często prawdziwe niespodzianki sprawiał uczonym. I tak: czy przyszłoby komu na myśl, że piórka kolibrów, które taką nieporównaną świetnością barw zachwycają oko nieuzbrojone, pod mikroskopem przybierają jednostajną, brudną barwę. Pokazało się, że te piórka nie posiadają żadnych barwników właściwych, ale cała powierzchnia ich złożona jest z niedojrzanych kwadratowych blaszek, a świetne barwy są skutkiem gry światła na tej nierównej powierzchni. Skład piór naszych pawi jest zupełnie podobny, ale blaszki mniej są skupione i barwy nie tyle świetne. Do tej samej kategorii należą skrzydełka różnobarwne motylów; ów pyłek delikatny, który na palcach zostaje, traoci także barwę pod mikroskopem. Są to również blaszki, lecz nieco odmienne, co naksztalt łuski lub dachówek i te to właśnie drobne dachówki stanowią pyłek kolorowy.

Zabarwienie u zwierząt ma czasem swoje szczególne tajemnice. Mikroskop niejedną z nich wykrył. Któż z nas nie słyszał o dziwnych, mieniących barwach kameleona? Wprawdzie w tych opowiadaniach, a zwłaszcza w dawniejszych, jest wiele przesady, nie można jednak zaprzeczyć, że kameleon się mieni, przybierając to ciemniejsze, to jaśniejsze odcienie, zawsze jednak tej samej, zielonawej barwy. Przez czas długi dziwna ta własność była niewytłumaczoną, więc wielu jej zaprzeczało, bo już to jest wrodzonym człowiekowi, że rad zaprzecza temu, czego nie rozumie. Jest to wcale wygodny i pozytywny sposób wyjścia z kłopotu. Przekonano się jednak, że zmiany barw kameleona nie przedstawiają żadnych niezbadanych tajemnic. Wystawmy sobie wypukłą kropelkę atramentu na arkuszu gładkiego papieru, i też samą kropelkę spuszczoną na bibułkę. W pierwszym razie będzie nieznaczna, na bibulce przeciwnie, rozejdzie się i utworzy plamę bardzo widoczną. Otóż na skórze kameleona coś podobnego się odbywa. Jeden i ten sam barwnik skupia się i rozpościera, nadając skórze jaśniejszy lub ciemniejszy odcień.

Odmiernym nieco jest mechanizm w innym zwierzętku, mieniącym się podobnie. Morskie mięczaki z rodzaju atramentowców, (seiche) mienia się w najwłaściwszy sposób za najmniejszym rozdrażnieniem; nieraz nawet dzieci zabawkę sobie z tego robią, drażniąc je koniuszczkiem kijka. Tu już wyobraźmy sobie rodzaj małych wachlarzyków, rozmaicie zabarwionych, które się szybko odmykają i zamykają; łatwo zrozumieć, że te co się zamkną, stają się niewidoczne, a te, które się rozsuna, nadają swoją barwę mięczakom. Niteczki niedojrzane wprowadzają w ruch ten dowcipny mechanizm.

Nigdzie jednak mikroskop nie wykrył tak cudownych rzeczy, jak w ciele ludzkim. Wyliczyć wszystkich niepodobna, tomy całe starczyłyby za ledwie na

spisanie tego, co nauka dotąd pochwyciła i rozjaśniła. Uczni życie całe poświęcają szczegółowemu badaniu ciała ludzkiego; niemogąc zadaniu temu podołać, wybierają jedną tylko część tej całości, a żaden jeszcze nie wyczerpał swego przedmiotu.

Wyliczymy tu tylko kilka szczegółów ciekawszych, dla przekonania czytelników, że i anatomia, uważana pospolicie za jedną z najprozaiczniejszych nauk, nie tylko zająć, lecz i zachwycić umysł nasz może. Każdy wie na przykład, że pot wydobywa się z ciała przez otwory niedojrzane zwane porami, ale nie wszystkim wiadomo, że owe pory są zakończeniem równie drobnych kanalików, których w skórze jest takie mnóstwo, iż na przestrzeni jednego cala kwadratowego naliczono ich najmniej kilkaset. Na czole liczba ta wzrasta do tysiąca i więcej, a na dłoni do dwóch tysięcy kilkuset, wszystko to na takiej małej części skóry, którą końcem wielkiego palca przykryć można. Kanaliki te u punktu wyjścia swego pozwijane są w kłębuszczki, równie subtelne, a gdyby ktoś zręcznie rozwinął podobny kłębuszeczek, długość owej mikroskopicznej niteczki dosięgłaby wzrostu człowieka. Cóżby to było, gdyby je porozwijano wszystkie i powiązano je do drugich? Na całym ciele nabrałoby się takich kłębuszczków około trzech milionów, taką nitką można by księżyc opasać do koła. Otóż to dopiero bogata kanalizacja i to tylko dla potu, który przecież dosyć podrzędną gra rolę w naszym organizmie.

Cóż dopiero powiemy o tej innej kanalizacji, która jest prawdziwie żywotną dla nas, to jest o cyrkulacji krwi? Za dalekoby nas zaprowadziło szczegółowe opisanie owej cudownej przemiany, przez którą twarde pokarmy stają się cieczą pożywą, później krwią czerwona, tętniczą, która płynąc nieustannym biegiem, okrąża wszystkie zakątki ciała, niosąc wszędzie świeży, a wszędzie właściwy materiał, usuwając zużyty, przerabiając go lub odrzucając i utrzymując ciało nasze w ciągłym ruchu i ustawicznej przemianie. Od dawna rozpowszechnionem było wyobrażenie, że człowiek zmienia się zupełnie co lat siedm. Dziś nauka utrzymuje, że ta przemiana daleko prędzej się odbywa, chociaż dokładnie obliczyć tego czasu nie zdołano dotąd, bo jedne części prędzej, drugie powolniej się zużywają. To też gdybyśmy chcieli uwierzyć materialistom, którzy utrzymują, że nie jesteśmy niczem innym, tylko zlepkiem węgla i gazów, z dodatkiem niektórych innych ingrediencji, jak np. wapna, żelaza, fosforu, ach! tego fosforu do którego ci panowie taką przywiązują wartość, że prawdziwie żal zbiera, że człowiek zapalkami pożywić się nie może; otóż powiadam, każdy z nas, po pewnym przeciągu czasu, przestałby być samym sobą, zamieniłby się w inną całkiem istotę, a raczej, wciążyby się mienił w coraz inne istoty. Słusznie nawet powiadają w przeciwnym obozie idealistów, że w takim razie nie byłoby starych ludzi, bo ciało starca dziewięćdziesięcioletniego zawsze jest jeszcze dość młode.

Otóż to odmładzanie, ta ciągła przemiana ciała naszego, odbywa się za pomocą niezliczonych, mikroskopicznych kanalików, czyli naczyń. Nazywają je włoskowatemi, chociaż właściwie trudno je do włosów porównać. Włoskowate naczynia przy włosach wyglądałyby jak włosy przy grubych liniach. Jedne wychodzą z kanału pokarmowego, niosąc mlecz, czyli sok pożywny, z pokarmów powstający, drugie, napełnione krwią czarną, zdążają do serca, szukając tam ożywczego tchnienia powietrza, trzecie nakoniec roznoszą krew czerwona, ożywioną dobroczynnym działaniem tlenu; wszystkie te naczynia rozbiegają się w najrozmaitszych kie-

runkach, łączą się, rozechodzą, tworząc gęstą sieć, a w ruchach tych rozlicznych wszędzie najdoskonalszy panuje porządek. U zwierząt niższych tkanki bywają niezmiernie przezroczyste i za pomocą mikroskopu można w nich i te żyłki i bieg krwi obejrzeć. Małe kijanki żab nadają się do tego wybornie. Ciało takiego stworzenia, odbite na ścianie fotoelektrycznego mikroskopu przedstawia widok niezmiernie ciekawy; liczne strumienie, płynące w rozmaitych kierunkach, dają nam obraz dokładny tego, co się w nas samych odbywa.

Jeśli zechcemy zajrzeć głębiej jeszcze i przypatrzeć się bliżej tej krwi, która wszędzie życie roznosi, obaczymy w niej niezmiernie mnóstwo drobnutkich kulek okrągłych i spłaszczonych, komórkami lub ciałkami krwi zwanych. Gdzie tylko krew płynie, tam i te dziwne ciałka żeglują po niej. W ciasnych przejściach układają się rzędem, nakształt łańcucha, a w najciśniejszych wyciągają się wzdłuż i tym sposobem wciskają się wszędzie. Niektórzy fizyologowie utrzymują, że każda z tych kulek jest osobnym zjatkami; więc ciało nasze byłoby w takim razie siedliskiem jakiejś ruchliwej rzeczypospolitej.

Nie mniej ciekawy jest skład innej części naszego ciała. Weźmy na przykład ząb. Na pozór ten twarde, biały ząb, zdaje się utworzony z jakiejś masy jednolitej; mikroskop wykryje nam zupełnie co innego. Owe lśniące szkliwo, emalia zwane, składa się z niezliczonych słupków, (prisme) silnie z sobą spojonych. Właściwą kość zębową stanowi znowu mnóstwo rurek równie drobnutkich. Kość obejrzana przez mikroskop przedstawia skład nadzwyczaj skomplikowany. Co tam najrozmaitszych otworków, kanalików, jamek, jakie nagromadzenie blaszek drobnutkich, a jaka wszędzie rozmaitość; każde zwierzę, a nawet członek każdy ma odmienną kość. Ale to bogactwo nie jest wcale marnotrawstwem; kości się odnawiają, tak jak wszystkie tkanki, a owe kanaliki, przerywające je we wszystkich kierunkach, to są właśnie strumienie, któremi przepływa ożywczy zród.

A włosy? najcieńszy włos w rękę znawcy rozpadnie się na tysiące włókien, a każde z tych włókien na drobnutkie blaszki, wszystko to powleczone błoną powiewną. Pomiedzy temi blaszkami są jeszcze i przestworiki napełnione powietrzem lub płynem zabarwionym. — W siwych włosach brakuje zupełnie owego zabarwionego płynu i dla tego są białe.

Na zakończenie przypatrzmy się jeszcze wewnętrznej budowie oka. Wiadomo, że oko nasze jest prawdziwą ciemnicą optyczną, zaopatrzoną w ściankę i soczewkę, w której promienie światła łamią się tak zupełnie, jak w najprostszej szklanej soczewce. Ale komużby to na myśl przyszło, że ta mała soczewka jest zlepem mikroskopicznych blaszek, który tysiąc utworzy zaledwie warstwę grubości paznokcia. Cała więc soczewka mieści w sobie tych drobnych kawałeczków ni mniej ni więcej tylko kilka milionów. Trzeba i o tem wiedzieć, że to nie są wcale jakieś blaszki jednostajne, na jeden model wyrobione, ale rureczki, niezmiernie misternej roboty, powycinane w rozmaite ząbki, z których każdy ma swoje przeznaczenie. Niemniej szczególną tkanką jest siatkówka, owa ścianka, na którą padają promienie światła, tworząc obrazy przedmiotów. Grubość siatkówki nie jest jednostajną, nigdzie nie przewyższa 0,4 milimetra. W miejscu zaś, gdzie jest najcieńszą, ma tylko 0,090 mil. grubości. A jednak mikroskop rozdziela tę subtelną tkankę na dziesięć osobnych warstw. Pierwsza z nich szczególnie jest ciekawa i najważniejszą podobno odgrywa rolę w oku. Jest to coś nakształt

lasu drobnych ciałek walcowatych, podłużnych, które dzieli na dwa rodzaje, laseczki czopki. Czopki są krótsze, mają kształt gruszeczek, laseczki i dłuższe, ale łątwo sobie wyobrazić rzeczywiste rozmiary tych ciałek kiedy na takiej warstewce się mieszczą. Według dzisiejszych wyobrażeń, ten to właśnie lasek mikroskopiczny, wprawiony w drganie przez eterowe fale, sprawia nam wrażenie światła.

Każda cząstka ciała naszego kryje w sobie mnóstwo takich szczegółów zadziwiających, które dla wzroku nieuzbrojonego, są światem niewidzialnym, nieznanym; a ileż to jest jeszcze takich, których najpotężniejszy mikroskop wykryć dotąd nie zdołał. To pewna, że każdy najdrobniejszy kanalik krwionośny, każda laseczka w siatkówce, ma swoje przeznaczenie i wybornie do tego przeznaczenia jest zastosowaną.

Niejeden mędrzec, wpatrując się w cuda przyrody, naraz ujrzał przed oczyma duszy, jakby w jasnowidzeniu, wszechmocną rękę, której dzieła podziwiał. Widząc wyraźnie, jak wszystkie największe i najmniejsze rzeczy stosują się ściśle do pewnego planu, rozwijają się podług pewnych niewzruszonych praw, zwracał myśl swoją do źródła wszelkiego porządku, wszelkiej doskonałości i wielbił Stwórcę w dziełach mądrości jego. Tak czynili mędrce wielkiego umysłu, wielkiej duszy, a prostego serca. Ale byli i tacy, których podobne wyniki badań raziły zbytnią swoją prostotą, woleli więc obmyślać inne, sztuczniejsze kombinacje.

I tak na przykład: czemużby ten piękny świat nie miał powstać tak sobie, przez przypadkowe połączenie rozsypanych w przestrzeni atomów? Na tę piękną teorię najlepszą będzie zawsze odpowiedzią rozmowa Keplera z żoną, gdy raz powróciwszy z obserwatorium zastał swoją gosposię przyrządzającą wyborną salate. Jak myślisz, zapytał jej wielki astronom, gdyby, dajmy na to, w jakiej ogromnej przestrzeni latały swobodnie półmiski cynowe, zielone liśki, kawałki jaj i krople oliwy i octu, czy mogłoby to wszystko uszykować się w taki sposób, ażeby się z tego zrobiła ta smaczna salata? Wątpię, odrzekła żona z uśmiechem, a przynajmniej ręczę, że ta salata nie byłaby tak dobra jak moja.

Dzisiejsze teorie powiadają znowu, że świat roślinny i zwierzęcy rozwijał się i doskonalił powoli, w skutek potrzeb przemijających i stosownie do warunków bytu. Przypuścimy, że tak było rzeczywiście. Zawsze jeszcze należy wytłumaczyć, z kąd się wzięła w istotach żyjących ta zdolność rozwijania się i doskonalenia. Jeśli tylko źródła poszukać zechcemy, zawsze znajdziemy Boga i ślad jego ręki. Czy powiemy w prostocie ducha, że Bóg dał girafie długą szyję, ażeby mogła żywić się liśmi wyniosłych drzew, czy przypuścimy z Darwinistami, że giraffa, nie znajdując pożywienia niżej, musiała szyję wyciągać do tych liści i w skutek długich usiłowań, po upływie wieków powstał gatunek, który aż do dziś przetrwał, zawsze przecież musimy dodać, że Bóg dał temu zwierzęciu zmysłność i zdolność potrzebną do wyciągania tej szyi. Czyż nie wyjdzie w końcu na jedno?

Alle otóż od przedmiotów mikroskopicznych przeskokczyliśmy do istoty wcale nie mikroskopicznej; zostawmy więc girafy i Darwinistów, a wracając do naszego przedmiotu, poszukajmy jeszcze cudów niewidzialnych w świecie roślinnym.

Któż z nas nie czytał w bajkach arabskich, o tych glazach zaczarowanych, które kropla cudownej wody zamienia w żyjące istoty? Ta bajka w życiu roślin staje się rzeczywistością. Głaz martwy rozpoczyna się w wo-

dzie, a roślina, wciągając tę ciecz w siebie, przerabia ją na najrozmaitsze organiczne tkanki. Wszakże i ciało ludzkie nie z czego innego powstaje, tylko z tych martwych pierwotnie cząsteczek, które już raz w roślinach odbyły taką przemianę. Mikroskop nam pokaże, że ta przemiana odbywa się w drobnych cząstkach, komórkami zwanych, z których się składa każda roślina. W kryształach podziwialiśmy także podobne cząstki, które się układają w pewnym porządku, ale w kryształach cała budowa powstaje z cegiełek gotowych, zupełnie jednostajnych, a w tkance roślinnej z jednej komórki tworzy się tysiące innych niepojętym sposobem.

Wprawdzie niejedyn chemik postępowy powie nam z uśmiechem politowania, że tu nie niepojętego; nie ma, że to jest działanie chemiczne, także samo zupełnie jak to, które naprzykład żelazo w rdzę zamienia, lub podnieca płomień lampy, z tą niewielką różnicą, że działania chemiczne w tkankach organicznych odbywają się w pewnych warunkach, dotąd niedokładnie znanych; tak niedokładnie, lubo ci panowie nieraz z taką pewnością o tem prawią, że zdawałoby się prawdziwie iż znają już po trochu te warunki, i przedstawia nam niedługo jakieś stworzenie własnego utworu. Nim to jednak nastąpi, możemy jeszcze po dawnemu podziwiać doskonałość tworców Bożych.

Komórka roślinna jest to mikroskopiczna kropelka, mniej lub więcej gęstej materji, złożonej głównie z cząstek białkowych, pomieszanych z wodą. Materja ta nazywa się *protoplazmą*, czyli *sarkodą*. Komórka taka zamknięta jest prawie zawsze w delikatnej błonie i tworzy pęcherzyk zawierający wewnątrz materję. W ostatnich czasach dopiero odkryto komórki, niemające wcale takiej osłony i przekonano się, że jedyną częścią składową komórka stanowi protoplazma. Z niej to wydziela się delikatna błonka, która ją zazwyczaj osłania, z niej powstają nowe komórki, a mnożą się do nieskończoności, różne przybierają kształty, i tworzą najrozlicniejsze tkanki.

Rośliny mają także swój system naczyń czyli kanalików, za pośrednictwem których odbywa się odżywianie. Soki pożywne wstępują, krążą w nich nieustannie, podobnie jak krew w ciele ludzkim. Ale nie dość na tem; rośliny także oddychają. Liść, widziany przez dobry mikroskop przedstawia pomiędzy komórkami mnóstwo małych dziureczek. Brzegi ich naksztalt rąbka, nadały im nazwisko *stomate* (usta). Waga nazywa je *przetchlinkami*. Za pośrednictwem przetchlinek odbywają się wszystkie wymiany roślin z powietrzem, jakoto wyziewanie zbytecznej wilgoci, wciąganie gazów, jednym słowem, otworki te są to jakby organa oddechowe rośliny.

Ale do najciekawszych zjawisk w życiu roślin należy bez zaprzeczenia sposób rozmnażania się niektórych wodorostów najprostszej organizacji przez tak zwane *zarodniki* (*spora*). Zrostnica jest to mała roślina, pospolita w bagnach. Składa się z włókien ciągłych, walcowatych, poplątanych z sobą. W pewnej chwili koniec takiego włókna nabrzmiewa i wnet oddziela się od niego małe pęcherzyki. Jest to właśnie zarodnik, *spora*. Gdyby ktoś chciał oznaczyć ściśle granicę pomiędzy światem roślinnym i zwierzęcym, znalazłby się w prawdziwym kłopotcie w obec tej dziwnej istotki. Całą powierzchnią zarodnika okrywają drobniutkie rzęsy (*cilia*), które zdają się być prawdziwymi organami ruchu, zarodnik bowiem wydostawszy się z macierzystego włókna, rozpoczyna w wodzie szereg ruchów tak wyraźnych, że można by go wziąć za jakąś

59  
drobną muszkę. Kręci się, posuwa, to w tę to w ową stronę, aż wreszcie, jakby dopełniwszy jakiegoś przepisanoego ówczesnego, zatrzymuje się i natychmiast zaczyna się rozrastać, dając początek nowemu wodorostowi, nowej zrostnicy. Zarodniki innych roślin bywają jeszcze szczególniejsze; niektóre naprzykład wyskakują jak małe bączki i mają łodyżki, a raczej łapki, na których się poruszają, najdziwniejsze wyprawiając harce. Umieściwszy roślinkę na szklanej tafelce, wodą zwilżonej, można z łatwością obserwować przez mikroskop wszystkie te ruchy zarodników, ale roztwór jodu lub kropelka opijum natychmiast je ruchu pozbawia.

To wszystko cośmy tu wyliczyli jest zaledwo drobną cząstką cudów niewidzialnego świata. Badacz, uzbrojony szkłem mikroskopu, zazwyczaj jeden przedmiot obiera do swoich poszukiwań, coraz nowe upatrując w nim dziwy. Jeden studjuje ciało ludzkie, a najczęściej jedną część jego, drugi misterną budowę owadów, trzeci świat roślinny, a każdy ogromne księgi zapełnić może opisem tego co widział, a czego nie przeczuwano nawet, póki mikroskop nie był znanym.

I słuch nasz zapewne jest równie niedoskonałym zmysłem, jak wzrok, tylko że nieumiano temu dotąd zaradzić. Wiadomo, że ucho pewną tylko ilość drgań na sekundę słyszy, miałożby to znaczyć, że wolniejsze lub szybsze drganie nie wydaje wcale dźwięku? Prawdopodobniej są to dźwięki dla nas niedostępne.

W przyrodzie brzmi może tysiące głosów, których my pochwytać nie jesteśmy w stanie; któż wie, może istnieje tysiące zjawisk, na poznanie których brak nam zupełnie stosownego zmysłu?

A jednak są ludzie, którzy chcieliby wszystkie swoje przekonania opierać na świadectwie tych zmysłów tak niedoskonałych.

M. J.

## DRAMATYK DOMOWY.

Wspomnienia młodej dziewczyny

PRZEZ

Sobiesławę Wincentę.

(Dalszy ciąg)

Po niejakiś czasie weszła matka do pokoju; na jej widok Klara się wstrząsła i lekko głowę podniosła.

— Tyś na prawdę słaba Klaro? Jesteś bardzo zmienioną—mówiła ciotka, podchodząc do niej.

— Głowa mię tylko boli.

— A ja przyszedłam z tobą pomówić o rzeczy bardzo ważnej; lecz żeś cierpiąca odłożę na jutro.

— O! nie—mówmy o tem dzisiaj—zaraz—teraz—mówiła Klara zawsze tym pustym, głuchym, bez dźwięku głosem. Chciałaś, matko, mówić ze mną o Pawle i Izabelli?

— Więc domyślasz się?

— Wiem, że się kochają.

— Stało się Klaro, trzeba się temu poddać, to nie ich wina, że ich dwa serca młode, ogniste, stworzone dla siebie, zbiegły się w jedną wielką miłość.

— O! wiem że to nie jest ich wina, odrzekła Klara surowo podnosząc oczy na matkę. Serca te niezbiegły się, lecz połączyły spodziewanemi milionami.

— Tu nikt nie winien, odrzekła ciotka rumieniąc się—to zbieg okoliczności to traf.

— Nie matko, to nie traf, lecz wola Boga, który łaską swoją ratuje mię od nieszczęścia całego życia. Ależ matko zastanowiłaś ze się nad tak ważnem dla Izabelli pytaniem: Czy taki człowiek jak Paweł może

dać jej szczęście? Przytem ona tak młoda... pomyśl ileś ty sama była nieszczęśliwą wyszedłszy wcześniej za mąż.

— Wielka pomiędzy nami zachodzi różnica. Ja wyszłam zamaż z woli rodziców, a oni się kochają, to słowo rozwiązuje wszelkie kwestye, odrzekła matka niecierpliwie, powstając z kanapki.

— Nie unos się matko; znasz mię tyle, że nie możesz mię podejrzewać, abym stawała w obronie mojej sprawy, zrobiłam tę uwagę jedynie przez wzgląd na Izabelle.

— Jest to już rzeczą skończoną. Izabella chce tego — kocha Pawła i trudno teraz przemawiać do niej głosem perswazyi i zastanowienia.

— A ty chcesz matko dla tego że Paweł stał się dzieckiem dóbr wielkich, chociaż nie masz dla tego Pawła tyle szacunku, żebyś mogła z przekonaniem powiedzieć iż twoją córkę uszczęśliwi.

— Dla czegożbym nie miała szacunku dla Pawła? przerwała ciotka zagryzając usta. Że mając przyjaźń dla jednej pokochał się w drugiej, to jeszcze nie jest zbrodnią.

— Że się pokochał w młodszej, ładniejszej i usposobieniem zbliżonej do jego charakteru, to rzecz naturalna, i czujesz to dobrze matko, że nie za to go obwiniam. Lecz obwiniam, za nieuczciwe postępowanie. Izabella mogła pobłądzić młodością, uniesieniem samolubnem, i nierozumieć dobrze swego błędu nierozwiniętem w jej sercu żadnem dobrem uczuciem. Lecz Paweł nie jest młodzieńcem niedoświadczonym, może obliczać wrażenia swoje dobrze, i poddając się temu wrażeniu mógł postąpić szlachetniej.

— Próżno rozprawiać o tem, co się już cofnąć nie da. Obecnie jedynie chodzi o to aby ich wesele prędko nastąpiło. Życzymy tego bardzo i nie powinnaś, jak się zdaje, sprzeciwiać się...

— Nie nie mam — i mieć nie mogę przeciw temu.

— Umyśliśmy wyjechać na ślub do Warszawy... aby ci... przykrości widokiem tego ślubu nie przyczyścić.

— Aby mnie przykrości nie zrobić?! odrzekła Klara powolnie, z gorzkim uśmiechem. Postąpicie tak, jak wam się podoba matko; lecz ja zrobię tę uwagę, że gdy na ślub wyjedziecie do Warszawy, będzie to wglądając iż uciekacie z nim odemnie i od ludzi. A ja bym chciała aby ludzie widzieli, że ja na weselu siostry mojej zupełnie będę spokojną.

Po tych ostatnich słowach, dreszcz silny przebiegł ją jak w febrze.

— Ty cierpisz moje dziecko, odezwała się matka pierwszy raz czulej biorąc ją za rękę.

— Dziękuję matko, za to słowo — ono mi jedynie może przynieść ulgę w tej chwili, mówiła Klara całując ją w rękę.

— Ciotka pocałowała Klarę w czoło trochę serdeczniej niż zwykle; pocałowanie to jednak było za zimne, by spłynąć balsamem na zadaną krwawą ranę.

— Czy zejdziesz na herbatę dzisiaj? — pytała czy nie zechcesz im powiedzieć dobrego słowa?

— Dzisiaj nie zejde, bo mię głowa jeszcze boli silnie... lecz jutro...

Klara po odejściu matki, długo jeszcze siedziała na miejscu, ja zaś splakana, zasnęłam na jej kolanach — Przebudziłam się już w łóżeczku i widziałam jak poczuła Agata, nacierała z płaczem skronie i ręce Klary, leżącej bez czucia na kanapce. Gdy się powtórnie już w biały dzień obudziła, Klara chodziła po pokoju, a łóżko jej było nietknięte. Była jeszcze bladą,

lecz daleko spokojniejszą, a przynajmniej znikły z twarzy ślady owej niemej boleści. Zajęła się mną jak zwykle i ubrawszy mnie zaczęła się sama ubierać, tylko ubieranie się to nieszło jej dzisiaj prędko i składnie, rozpuściwszy swoje długie włosy nie miała siły by zebrać je znowu, i ręce jej co chwila opadały. A jak ona zawsze była uroczą, gdy rozpuszczała te długie i miękkie włosy co do ziemi sięgały, okrywając ją majestacyjnie niby złocistym płaszczem! Ja widząc teraz jej bezsilne usiłowania zczesania tych włosów i wyobrażając sobie, że potrafię jej pomóc, stanęłam przy niej na stołeczku a odgarniając je od skroni: Klaro zawołałam, patrz u ciebie tu białe włoski.

— A, prawda — zaśmiała się Klara smutnie, patrząc w lustro; to od bólu głowy przez jedną noc posiwiały.

Klara i dziś włożyła swą białą suknię, ubrała się staranniej ażeby niczem nie okazać wewnętrznego bólu; ale twarz jej była śmiertelnie bladą, kilka razy stawała przed lustrem, nacierała silnie ręką policzki swoje, rumieniec występował na chwilę — lecz nikt, gdy się tylko do zejścia na dół zabierała.

— Co tu począć — szeptała sobie? nie mogę przed nim stanąć bladą jak upiór. Ach! dobra mi myśl przyszła... zawołała po chwili i gdy zaszyliśmy do sypialnego pokoju matki, wzięwszy jakiś proszek z gotowalni, zaczęła nim twarz pocierać.

— Co tu robisz Klaro? zawołała ukazując się z zaparawanu ciotka, którejsmy wchodząc niespostrzeżony.

— Widzisz matko, jestem bardzo bladą, po wczorajszym bólu głowy, niechciałabym tą bladością przerazić i mąć chwilę szczęścia zakochanym, pożyczam więc sztucznych kolorów.

Znowu, jakies lepsze uczucie wybiło się na twarzy ciotki, podeszła objęła Klarę i ucałowała ją szczerze.

— O, moja droga mammo! twoja dobroć w tej chwili daje mi siły, zawołała Klara ze łzą w oku; tyś mi jedynym twoim uściskiem życie wlała. I ucałowawszy z wyłaniem serdecznem rece matki, zawróciła się do pokoju, gdzie się znajdowali Paweł i Izabella.

Siedzieli obok siebie; lecz gdyśmy weszli rozbiegli się.

— O! proszę was, nie usuwajcie się, przecież wiem że się kochacie — mówiła Klara swoim spokojnym, dzwicznym głosem; przyszłam was zapewnić szczerze, że nie mam do was żadnego żalu, i życząc wam szczęścia z całej duszy, będę się o nie modlić serdecznie.

Klara w tej chwili była piękna! jakaś wyższość moralna, jakaś podniosłość szlachetna taką odbiła się duchową jasnością w jej obliczu, takim nie umskiem blaskiem zapłonęła w oku, że piękność Izabelli, mówiąca li tylko do zmysłów zgasła w obec niej zupełnie; tu była materya a tam płonął duch nieśmiertelny! O! wiem że w tej chwili każdy człowiek, coby okiem ducha umiał patrzeć, spojrzawszy na jedną, ukląkłby kornie z prozbą aby jej skrzydła promieniste rozwinęły się nad głowę jego, i strumieniem jasności ukazały mu najlepszą, najzacniejszą, najpiękniejszą drogę życia. Modliłby się aby ten anioł natchnieniem swem prowadził go do nieskończoności... A przed tamtą drugą — zatrzymałby się na chwilę, spojrzal z podziwem artystycznego poczucia i powiedziawszy „piękna!” poszedłby obojętnie dalej. Musiał nawet Paweł poczuć w tej chwili tę wyższość piękności moralnej, bo ból wielki odbił się na jego twarzy, żal błysnął łzami w oczach, i wyciągnął jakimś mimowolnym ruchem ku niej ręce; lecz ona cofnęła się przed nim podeszła, do zmieszanej Izabelli, pocałowała ją w czoło, mówiąc rzewnym głosem;

— Bądź szczęśliwą siostrą, z duszy ci tego życzę. A proszę was obojga, bądźcie przy mnie zawsze tak weseli i swobodni, jak jesteście w mojej nieobecności.

Po tych słowach zwróciła się i wyszła przez jadalny pokój do ogrodu, tu przyklekła przed pierwszą grządką kwiatów i garnęła je do siebie, tuląc do swojej twarzy dla orzeźwienia się ich wonią; a ja na każdym kwiatku wypuszczonym z rąk jej—widziałam leżkę jasną, niby rosy kropelką. To były pierwsze łzy w jej nowej boleści—i one zlały się rosą orzeźwienia na jej kwiaty ukochane, powierniki nie jednych łez i nie jednej żalności.

W kilka dni po tem, przyjechała panna Justyna, od pierwszego wejścia odgadła ona wszystko. Gdy się więc znalazła sam na sam z Klarą nie pytając o nic, wzięła ją w swoje gorące, serdeczne objęcie i tuląc do siebie mówiła ze łzami:

— O moja biedna! moje drogie dziecko, trzebaż jeszcze, aby twoje nieszczęśliwe serce przez te bolesne próby przechodzić musiało.

— O! moja najdroższa ciotko, nie jestem ja jeszcze tak biedną, jeżeli mogę z bólem moim przytulić się do twego kochającego serca i z tamtąd zaczerpnąć pociechy. O! są stokroć nieszczęśliwsi odemnie, co cierpiąc łamią się w boleściach i pasowaniach męczeńskiego życia, a tak samotni na świecie, że nie mają komu powiedzieć: to mię boli — ta rana w duszy się mojej krwawi.

— Twoja dusza krwawi się jeszcze, przecierpisz, ale Bóg da że może to co się stało, stało się dla szczęścia twego.

— Ach wierzę w to święcie dzisiaj moja ciotciu, o, dzisiaj widzę, że Paweł zatrułby mi każdą chwilę życia, bo musiałabym w każdej chwili przechodzić przez bolesne rozczarowanie. To też nie płaczę straconej nadziei tak długo marzonego szczęścia, ale boli mię ta rana zadana rękami tych, dla których szczęścia gotowa byłam zawsze moje poświęcić. O! gdyby inaczej ze mną postąpili! Gdyby bez podstępów odwołali się do mego dla nich przywiązania. Gdyby Paweł znając moje niesamolubne dla niego uczucie, przyszedł do mnie ze skrucłą otwartą, ja bym go sama, własną ręką poprowadziła do Izabelli... Ja bym mu tego nie przeczytała za winę, że serce jego zmieniło się, że on mnie zgnękaną, nieładną, w obec młodej, świetnej piękności już kochać nie mógł. Lecz postępowanie jego było fałszywe i to mię najwięcej boli.

— Kto wie zresztą, ciotciu?—mówiła jeszcze po namyśle—może właśnie ten fałsz jego był dla mnie silnym, niebezpiecznym ale stanowczym lekarstwem na uleczenie prędkie i zupełne? Mogłam kochać Pawła z jego słabościami małymi, ale nie ubliżającymi zacności i godności człowieka, lecz tego dla którego straciłam szacunek, kochać już nie mogę. Bo moja ciotciu — nie tylko on ze mną źle postąpił, wyznając w pierw miłość swą Izabelli za nim od danego mi słowa zwolnionym został, ale mam przecucie a prawie pewność, że on kłamie przed niemi, przechwalając się swoim nowym bogactwem. Zrobiłam tę uwagę matce, choć to mnie wiele kosztowało, bo wiedziałam, że źle będzie przyjęta; czułam się jednak w obowiązku przestrzedz. Ale matka zaslepiona swoim pragnieniem milionów dla Izabelli, chce w to wierzyć czego pragnie. Izabella niecierpliwie czeka tylko chwili, w której użyje bogactwa, więc milczeć już muszę!

Wesele nastąpiło prędko, a było świetne bardzo i gości zebrało się takie mnóstwo i tyle znajomych i krewnych zjechało się zewsząd do nas, że cały dom

był zajęty, a nawet i myśmy ustąpić musiały ze swojej facytki. Klara urządziła dla siebie malutki kącik na poddaszu, gdzie się ledwo mogły nasze łóżka pomieścić.

W chwili wyjazdu na ślub do kościoła, Klara mi z oczu znikła, a gdy jej nie było, nikt się naturalnie mną nie interesował i wszyscy odjechali zostawiając mnie samą, z wielkim żalem moim. Poszłam więc szukać Klary po całym domu i znalazłam ją na poddaszu w tymczasowym mieszkaniu naszym. Tu Klara, w świetnym z woli matki przywdzianym stroju, klęczała przed krucyfiksem i wśród łkania bolesnego szeptała od czasu do czasu: Boże mój ja im przebaczam z serca... Boże natchnij ich pragnieniem dobra... daj im lepsze pojęcie życia i jego obowiązków—daj im lepsze poczucie w duszy. I modliła się tak długo. Gdy usłyszała turkot powracających powozów, wstała by już z jasną twarzą powitać nowożeńców.

Ci od których należało się jej najwięcej uczucia, dla których swe życie poświęciła, łamali jej duszę, wydierali szczęście i w chwili tej, właśnie gdy wyrządzili jej krwawą krzywdę, drugotni jasną jej przyszłość, ona modliła się o ich szczęście o ich moralne dobro błagała Boga, i była tem przebaczeniem tak wyższą duchem, i tak silnie odważną, tak hartowną spokojem, że gdy z tem wewnętrznym uczuciem promieniającem na jej obliczu, stanęła wśród ludzi, nikt patrząc na nią nie mógł się domyśleć przez jakie pasowanie się doszła do tryumfu tego spokoju, a spokój jej od tej chwili był niezachwianym.

Gdy zaraz po weselu państwo młodzi wyjechali, nastąpiła w domu cisza i spokój. Ciotka była smutną przybitą, miłość jej macierzyńska od razu mocno zadrasniętą została przez tę ukochaną córkę, przy pierwszym jej w świat wystąpieniu. Pawłowie wprost z domu mieli się udać w podróż za granicę, ciotka lubiąc namiętnie podróże, pewna że na swoje uciechy będzie mogła czerpać z bogatej kieszeni zięcia, wybierała się im w tej wycieczce towarzyszyć, lecz córka i zięć dali do zrozumienia matce bardzo wyraźnie, że przyjemniej, i swobodniej im będzie bez opieki we dwoje tylko bijać po świecie. A Izabelli tak pilno było wyjeżdżać z domu, z taką radością dom ten opuszczała, tak jedną łzą nawet nie uczciła spędzonych tu szczęśliwie lat swego dzieciństwa, tak obojętnie żegnała matkę, że matka teraz dopiero przekonała się że w sercu tego ukochanego dziecka niema uczucia dla niej.

A do tego otrzymała od Alberta list pełen srogich wymówek dla siebie i wzgardy dla Izabelli i Pawła za ich zły postępek. I własne sumienie ciotki w rozżaleniu do Izabelli może też drgnęło lekkim niepokojem. Na domiar tego po świetnym weselu pozostały ogromne długi, które miał Paweł opłacić, lecz czy przez roztargnienie, czy skutkiem wielkiego zaobserbowania się swoim szczęściem, wyjechał zapomniawszy o nich zostawiając ten kłopot matce. Wszystko więc zbiegło się, aby tę szczęśliwą (dotychczas kobietę nigdy niezastanawiającą się nad niczem na raz udreć i temi nie zwyczajnymi dla niej przykrościami zupełnie zgnębić.

Z Klarą zaś stało się inaczej, ona z dniem wesela wróciła do zupełnego spokoju, i oblicze jej było coraz jaśniejsze i pogodniejsze. Do zajęć swych przerwanych na chwilę weselem siostry, wróciła z większem jeszcze upodobaniem.

Godzin lekcyi po za domem przybyło jej teraz więcej bo Alberta utrzymywała prawie swoją pracą. W domu jak zwykle zajmowała się gospodarką, lek-

cyami, które mnie udzielała, książkami, robotą, muzyką. I była pogodną, i prawie wesołą... ku wielkiej jej radości panna Justyna, znalazła obowiązek w miescie, widywałam się więc z nią prawie co dzień, a ona zwykle przychodziła do nas w sobotę wieczorem i pozostawała przez niedzielę.

W kilka tygodni po wyjeździe Pawła właśnie w sobotę, nad wieczorem, siedzieliśmy z Klarą w ogrodzie oczekując na przybycie ciotki Justyny. Ja spostrzegłszy Agatę idącą do miasta przez furtkę ogrodową, uprosiłam ją aby mię z sobą wzięła. Gdyśmy wyszły z ogrodu na ulicę najbliższą nam, spotkałam niespodzianie Zbigniewa, niewidzianego od chwili jego nagłej ucieczki. Uszczęśliwiona tem spotkaniem, nie myślałam iść dalej z Agatą, lecz uczepliwszy się ręki Zbigniewa, opierającego się i wymawiającego brakiem czasu, ciągnęłam go całą moją siłą do ogrodu. Poparła moje nalegania Agata, której Zbigniew zdawnych lat był ulubieńcem.

— Ej bo to już i nie ładnie tak o nas zapominać mówiła, ja widzę często panicza chodzącego tą ulicą i myślę sobie choćby już jaką pułapkę zastawić na panicza, żeby się na naszą drogę zwrócił. Ot i znalazła się pułapka, i Niucia już niepuści, bo i ona wie, że wszyscy w domu panicza uważają jak swojego i rądzi mu z duszy będą... Niech się panicz nie opiera a pójdzie do ogrodu pomówić z panną Klarą, która sama siedzi, bo się to już i należy uczynić... Zbigniew temi argumentami Agaty dał się przekonać. Gdy go z tryumfem przyprowadziłam do Klary, oboje stę trochę zmieszali witając.

— O teraz już panie Zbigniewie nie ucieczesz od nas mówiłam, bo Klara nie pójdzie więcej za Pawła.

Na ten mój drugi wykrzyk dziecinny, oboje się znowu zmieszali, role się tylko zmieniły. Klara zbliżyła i oparła się o drzewo, pod którym stała, podniosłszy się na powitanie przybyłego. Zbigniew zarumienił się, chwilę miał oczy spuszczone, lecz raptem ujął rękę Klary i całował ją tak gorąco, tak długo, że nie tylko rumieniec wrócił na bladą jej twarz ale nawet czoło i oblicze całe skraśniało. Usiedli oboje milcząc na kanapie; ona spuściła oczy nad robotą, on patrzył na nią; a jakim pięknie, jakim jasnym okiem patrzył!

Milczenie obojga było widocznie uciążliwe. Przerwało je nadejście panny Justyny, która krzyknęła radośnie spostrzegłszy Zbigniewa i powitała go prawdziwie po macierzyńsku. Rozpoczęła się ożywiona rozmowa do której Klara przyłączyła się z zwykłą swoją swobodą i naturalnością, lecz gdy w czasie rozmowy wezwano ją na chwilę do matki, panna Justyna korzystając z jej nieobecności, zapytał Zbigniewa dla czego u nas nie bywa.

— Dotąd nie miałem czasu, odrzekł Zbigniew, wzruszonym głosem.

— Dotąd, ale odtąd będziesz miał czas? nieprawdaż drogi mój panie Zbigniewie?

— O jakbym chciał, jakbym chciał moja dobra pani... ale...

— Żadnego ale panie Zbigniewie... lękasz się może kaprysów bratowej... lecz tyś wyższy nadto moje dziecko. Niezrażaj się nawet obojętnością Klary, wiesz ile cierpiała... Dzisiaj dzięki Bogu spokojna już, tylko że zranionem sercem zamknęła się w sobie... Lecz bywaj jednak bywaj... bywaj...

— Moja droga pani, tyś odgadła mojem dobrem sercem, ile ja pragnę ile potrzebuje ją widywać często! Kaprysów pani Dolskiej nie lękam się, przywykłem do nich, lecz gdy mi ona okaże swą niechęć,

gdy okaże, że jestem natrętnym gościem, a teraz nie wiem... nie wiem...

(d. n.)

## WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Marya Amelja królowa Francuzów.

(Vie de Marie Amelie reine des Français, par Auguste Trognon. Paris, 1872.)

Pod powyższym tytułem wyszedł obecnie w Paryżu opis pobożnego i doświadczonego ciężkimi kolejami losu, życia Maryi Amelii, żony Ludwika Filipa byłego króla Francji, wydany na żądanie jej synów, przez jednego z wiernych przyjaciół Orleańskiego domu. Szczegóły do pracy swej czerpał autor w dzienniku królowej pisany w młodych jej latach, zarówno jak ze wspomnień czterdziestoletniego pobytu na jej dworze. „Względy te, powiada w przedmowie, sprawiły że powierzono mi pracę do której czuję się niezdolnym zarówno z powodu podeszłego wieku, jak miernych pisarskich zdolności. Spodziewam się zatem że książka moja znajdzie usprawiedliwienie jedynie w uczuciu które ją natchnęło.” I rzeczywiście niema tam zalet stylu, ani wdzięku opracowania, lecz natomiast proste opowiadanie o prawdziwie chrześcijańskich uczuciach i czynach Maryi Amelii, wśród prób które dotyczą dusze walczące mające świadczyć w obliczu ludu, jak znosić należy cierpienie zesłane od Pana. Przykład to wielki i pożyteczny dla wielu, bo codziennie niemal widzimy strapionych, co w nieszczęściu czują się niejako pokrzywdzeni w obec mniemanej pomysłowości drugich. Mówimy *mniemanej*, bo nikt wolny nie jest od cierpienia i jedynie samolubne zatopienie się we własnej boleści, rozciąga przed oczyma naszymi zasłone na boleści drugich. Życie królowej francuzkiej było od lat najmłodszych pasmem goryczy przeplatanych później rodzinnymi radościami, które następnie przemieniały się w najwyższą żalność po stracie ukochanych istot które koło rodzinne składały. Ale Marya Amelja zawsze wzrok zwracała wtedy w przyszłość duchową w którą wierzyła niezłomnie, i w niebie szukając skarbów utraconych na ziemi w nadziei odnalezienia ich tamże, czerpała moc w nieszczęściu. „Gdy obudzę się czy to wśród nocy czy zrana, mówi w dzienniku swym pisany w Neapolu, w czasach gdy rodzice jej tron utracili, myślę co dziś będzie ze mną? Jakiej nowej doznam goryczy? Lecz wznoszę oczy do nieba i znajduję pociechę w naszej świętej wierze która mi powiada że jesteśmy tylko wygnanecami na tej ziemi, i że kiedyś żyć będziemy w lepszym świecie.” Uczucie to później tak zapanowało wyłącznie w sercu młodej księżniczki że rozlało w niem pogodę i spokój jakimi odznaczała się w dalszem życiu. Wzorowa żona i matka dziesięciorga dzieci które wychowała w bogoboju i cnocie, dwoje z nich straciła w bardzo młodym wieku, lecz przeniesie również musiała śmierć nagłą, wypadkową, najstarszego syna księcia Orleanu, i dwóch zamężnych córek, cnotliwej królowej belgijkiej i nie mniej pełnej zalet oraz artystycznych zdolności księżnej Maryi Wirtembergskiej. Przebywszy burze które ją wraz z rodziną pozbawiły tronu Francji, straciła męża z którym przeżyła lat czterdzieści w miłości i zgodzie niezacmionej najłżejszą chmurką nieporozumienia. „Po pogrzebie króla, (mówi p. Trognon) na którym obecna była do końca smutnych obrzędów, podobnie jak na pogrzebie księcia Orleanu, powróciła złamana cierpieniem i trudem, lecz zajęła się nie cierpiącą zwłoki kor-



respondencją i przyjęciem kilku powracających niebawnie do Francji przyjaciół; nie była tylko obecną przy obiedzie, nazajutrz wszakże już zajęła swoje zwykłe miejsce u stołu. Ta prawdziwie mężna niewiasta moc swoją czerpała z nieba; nie więc w zwykłych jej czynnościach nie ulegało zmianie. Trzeba było tylko widzieć kolor jej sukni i obłok posepny przyciemniający zlekka pogodny majestat jej oblicza, aby odgadnąć ciężką bolesć którą ukrywała w głębi serca. Bóg był jedynie powiernikiem jej strapienia w długich godzinach w których widywano ją klęczącą na modlitwie, u łóżka na którym król oddał ostatnie tchnienie?

Marya Amelja miała zwyczaj zapisywać na pierwszej kartce książki do nabożeństwa, daty nieszczerze jakie ją dotykały; otóż w książce tej stoi zapiska uczyniona w 45 dni po śmierci króla: „10 Października straciłam anioła mego życia, ukochaną Ludwikę moją” 45 dni zatem od śmierci, męża oddzielała śmierć córki ukochanej, po której stracie pisała z Ostendy gdzie była obecną podczas jej chwil ostatnich: „Niech wola Boża będzie pochwalona, mam anioła więcej w niebie a pozostaje nieszcześniejszą niż kiedy na ziemi”. Jednocześnie synowa jej księżna Orleańska pisała do poufalej osoby donosząc o śmierci królowej Belgijskiej, i zachowaniu się w obec tego nieszczęścia jej matki: „Opowiedzieć jak się czujemy opuszczeni po stracie tej która była dla nas drugą Opatrznością na ziemi, niepodobna. Bóg nam zabrał naszego opiekunego anioła. Dzień każdy uczuć nam daje coraz więcej ogrom straty jaką ponieśliśmy. Płacemy nie tylko przyjaciółki lecz podpory naszej rodziny. Ach! gdybyś widzieć mogła teraz naszą matkę. Gdybyś słyszała te słowa wiary i rezygnacji które zadziwiają nasze serca. Jest ona co się zowie mężną niewiastą; żyje już tylko w niebie z myślą za prowadzenia tam wraz z sobą dzieci swoich. Jest wyższą nad wszelkie cierpienia ludzkie, bo Bóg sam ją wzmacnia i podnosi.” Cóż dodać do słów tych najwymowniej określających Maryę Amelję. Chyba tylko jeszcze wyliczyć nowe straty ukochanych osób które poniosła przy schyłku życia. Przeżyła bowiem śmierć synowej którą ją tak oćeniła i pojąć umiała, a następnie również zgon żony drugiego syna, księżnej Nemours którą kochała jak córkę. Odtąd poświęciła się cała osieroconym wnukom które odpłaciły jej tę opiekę najtroskliwszą miłością dziecięcą. Żyjąc tak przez kilka lat jeszcze dla drugich, pobożna królowa zarówno modlić się jak czynami miłosierdzia zapełniającami całe jej życie, gotowała się sama do chrześcijańskiej śmierci. Po krótkiej też chorobie prawdziwie: *zasnęła w Panu*, otoczona licznym gronem nieutulonej w żałosci rodziny. Bóg osądziwszy zapewne że dość już wycierpiała, oszczędził jej jeszcze jednego ciosu nie przedłużając jej życia, albowiem meksykański cesarz Maksymilian ożeniony był z jej wnuczką księżniczką Karoliną Belgijską, niedoczekala zatem jego śmierci i nieszczęścia młodej cesarzowej, pobłogosławiwszy i pożegnawszy ich przed podróżą do nowego świata który im tak smutne zgotował koleje.

A. B.

## LISTY Z PETERSBURGA.

### VII.

Arcybiskupi Mohylewscy i Metropolici wszystkich katolickich kościołów w Rosyi. Arcybiskup—Metropolita Antoni Fijałkowski. Wyświęcenie na Biskupów księży: Cotmana i Iwaszkiewicza.—Obchód dwóchsetnej rocznicy urodzin Piotra Wielkiego.—Stan pogody.—Przenosiny na dacie.—Ospa i cholera.—Wspomnienia o Moniuszce.

Z godnością Arcybiskupa Mohylewskiego połączony jest urząd Metropolity wszystkich Rzymsko-katolickich

kościółów w Państwie Rossyjskim, dla tego to Petersburg za miejsce stałego pobytu Arcybiskupów—Metropolitów wyznaczonym został. Pierwszy z nich: Stanisław Bohusz-Sięstrzeńcewicz mianowany został 1774 roku; następnie piastowali tę godność: Kasper Cieciszewski Ignacy Pawłowski, Kazimierz Dmochowski, Ignacy Hołowiński, i Wacław Żyliński. Po zgonie tego ostatniego, najpierw biskup Józef — Maksymilian Staniowski, następnie zaś prałat Jerzy Iwaszkiewicz czasowo tylko, jako wikaryusze kapitularni, archydiecezyą zarządzali, nakoniec biskup Antoni Fijałkowski Arcybiskupem—Metropolitą mianowany został. Na pierwszy dzień Zielonych świątek dnia 4 Czerwca, w tutejszym kościele S. Katarzyny, w asystencji biskupów: Baranowskiego i Lipskiego, w obec całego Petersburskiego duchowieństwa, wielu dygnitarzy, świeckich i licznie zgromadzonego ludu, odbył się uroczysty obrzęd włożenia palusza na nowo mianowanego Arcybiskupa, o którym niech wolno mi będzie słów kilka powiedzieć.

Arcybiskup Antoni Fijałkowski urodził się w r. 1797. Mając lat 20 był już kandydatem filozofii, a w trzy lata potem, magistrem praw obojga akademii Połockiej. *Wskritec* otrzymał święcenie kapłańskie, stopień doktora teologii i prawa kanonicznego w Wileńskim seminarjum głównem, oraz posadę profesora teologii dogmatycznej i języka francuzkiego w Wileńskim seminarjum dyecezalnym. Później został profesorem teologii dogmatycznej i historii kościelnej w uniwersytecie Wileńskim; następnie z kolei został kanonikiem katedry Wileńskiej profesorem, rektorem Wileńskiej akademii duchownej; prałatem katedry Wileńskiej, asesorem Petersburskiego Rzymsko-katolickiego duchownego kolegium; członkiem tegóż kolegium; infułatem Szydłowskim i Wikaryuszem kapitularnym archydiecezyi Mochylewskiej; sufraganiem, a w końcu w roku 1860 biskupem dyecezalnym Kamienieckim. Podczas kilkunastoletniego pobytu w Petersburgu zjednał tu sobie powszechny szacunek i przywiązanie, poznano w nim bowiem człowieka świętobliwego, który ze skarbem nieposzlakowanej czystości i rzadkiej prawości charakteru, połączył tak niezbędne dla wszystkich stanów i zawodów światła nauki. Oto są przyczyny, dla których nowy Arcypasterz powitany tu był z najwyższą radością przez wszystkich ludzi dobrej woli.

Dnia 11 Czerwca, w tymże kościele Św. Katarzyny odbyło się wyświęcenie rektora seminarjum Teraspolskiego księdza Cotmana na biskupa dyecezalnego Teraspolskiego; w dniu zaś 18 Czerwca, prałat katedry Mochylewskiej Jerzy Iwaszkiewicz wyświęcony został na Biskupa suffragana Mochylewskiego.

Dnia 30 Maja Petersburg solennie obchodził dwóch setną rocznicę urodzin swego założyciela. Zrana odbyło się publiczne nabożeństwo z processyami na lądzie i wodzie, przy strzeleniu z dział i odgłosie dzwonów potem nastąpił wielki przegląd wojska. Bezpłatne teatralne widowiska i różne zabawy ludowe urządzone były na polu Marsowem, gdzie wystawiono pod odkrytym niebem, 30 malowideł olbrzymiej wielkości, przedstawiających ważniejsze epoki z życia Piotra Wielkiego.

Od początku wiosny mamy tutaj dość ciepłą pogodę. Znaczna część stołecznej ludności zamieszkuje obecnie okoliczne letnie dworki, tak zwane *dacze*, dokąd nie tak łatwy mają przystęp panujące w Petersburgu dwie epidemie, to jest: ospa i cholera. Ospa pojawiła się w początkach Kwietnia i do dnia 1 Lipca dotknęła 1275 osób. których wyzdrowiało 353 a umarło 287. Pierwsze objawy cholery zauważano około 10-go

Czerwca. W ciągu trzech tygodni, t. j. do 1-go Lipca zachorowało 565, wyzdrowiało 54 i umarło 140 osób.

Wiadomość o śmierci nieodżałowanego Stanisława Moniuszki z żalem przyjęta tu była przez licznych czcicieli niepospolitego jego talentu. Niektóre z tutejszych gazet, zamieściwszy w swych szpaltach szczegółowy życiorys Moniuszki, ze współczuciem o jego działalności się odezwały, „*Petersburskie Wiadomości*” wyraziły słuszne życzenia aby część dochodu pobieranego od przedstawień *Halki* na tutejszej scenie, oddawaną była na korzyść jego rodziny.

Artur Dolńska

## LEW W KLATCE.

(The Caged Lion).

POWIEŚĆ Z ANGIELSKIEGO MISS C. M. YONGE,

Przekład Z. M.

(Dalszy ciąg.)

Ale książd Bennet znów zatrzymał go, i nakazał mu milczenie, mówiąc że nie miał prawa przyjmować podobnego ślubu, podobnie jak on nie miał prawa w podobny sposób się wiązać. Zabronił mu nawet tego wewnętrznego poświęcenia się, którego pragnął młodzieniec, aby wolę swą już skrupować. Nie była to chwila żeby czynić podobne obietnice; wtedy gdy Malkolm własnych swych uczuć nie znał jeszcze, nowym by się grzechem splamił nie dotrzymując jej, a wreszcie nie był teraz godnym Bogu się poświęcić.

Błędy których Robert Percy, lub inny młodzian mógł się dopuścić bez wielkiego grzechu, występkiem były dla Malkolma, który zawinił rozważnie, znając ich doniosłość, i wyrzekając się wyższych zasad jakim wiernym być postanowił. Ten kierunek spowiednik starał się nadać żalowi Malkolma, i widząc że pokora jego i poddanie się było rodzajem uporu, jakby gniewu że mu nie dozwolano natychmiast się zobowiązać, powiedział mu że dowodem prawdziwej skruchy była wytrwałość w dobrem, i za nim ją okaże nie obiecał udzielić mu rozgrzeszenia. Zabronił potem blademu i rozgorączkowanemu chłopcu, przepędzić całą noc w kaplicy na modlitwie, i rozkazał mu natychmiast udać się na spoczynek.

Rozpacz Malkolma nie znała granic, skalany grzechem, pozostawiony bez obrony wśród świata, a zmuszony się wyrzec Klarymundy nieszczęśliwszy był jeszcze niż przed tem. Czuł jednak potrzebę poddania się i rzucił się na łóżko, w nadziei że noc spędzi bezsennie, i że skoro świt uda się boszo do kaplicy żeby rozpocząć swą pokutę.

Tymczasem obudził się kiedy słońce dawno już świeciło i ujrzał króla Jakóba który mu powiedział:

— Malkolmie zaręczyłem że wierny jesteś i że zaufać ci można. Sprawa wielkiej wagi ma ci być poleconą. Chodź zemną do księcia Bedford.

Malkolm ubrawszy się musiał udać się z królem do komnaty gdzie siedział książę, z którego oblicza znać było że światłość jego życia uleciała, ale że niezmiennie postanowił wypełnić ciężkie żądanie jakie na niego spadło.

Przywitawszy Malkolma pokazał mu pierścień zapytując czy go poznawał?

— Jestto pierścień Króla Henryka, rzekł Malkolm.

Przypomniał sobie bowiem wtedy, że w zimie jeszcze podczas oblężenia Meaux, Henryk zgubił swój pierścień, i kazawszy inny zrobić w Paryżu, znalazł go później w rękawicy. Mało kto wiedział o istnieniu tego drugiego pierścienia, Bedfordowi dopiero oznajmił o tem Jakób, ale kiedy zaczęto poszukiwania czynić, nigdzie nie było można go odkryć, tak że widocznie musiał pozostać przy królowej. Pierścienie podobne były rzeczą nader ważną, więcej miały nawet znaczenia od podpisów, bo chociaż te zaczynały się odróżniać jedne od drugich, pieczęć wszakże jedynie świadczyła o prawdziwości aktu. Po śmierci króla, podobną pieczęć zawsze niszczone i koniecznem było niepozostawiać jej w rękach królowej Katarzyny, szczególnie kiedy się znajdowała przy matce, zdolnej użyć jej do poświadczania fałszywych dokumentów.

Ale ani Jakób, ani Bedford nie mogli w tej chwili opuścić Vincennes, wierniejsi z pomiędzy panów odjechali już żeby się połączyć z wojskiem, a Bedford, znając doskonale zawiści które szarpać miały niedługo osieroconem królestwem, nie miał ochoty powierzać sprawy mogącej stać się przedmiotem zazdrości Anglikowi, a jeszcze mniej pragnął żeby tajemnica ta więcej znaną się stała, gdyż nie można było wiedzieć jakich podejrzeń tej przyczyny mógł być przedmiotem każdy akt noszący pieczęć króla Henryka.

Jakób nareszcie wpadł na myśl użycia do tej sprawy Malkolma który wiedział o zaginięciu pierścienia, i o odnalezieniu go późniejszym i którego mógł z łatwością wysłać pod pozorem przesłania owłowiącej królowej swego ubolewania; nie posiadał on bowiem żadnego politycznego znaczenia nie był ani Anglikiem, ani Francuzem, a wiernie zachowawszy w innej mierze tajemnicę okazał się godnym zaufania.

Bedford zgodził się na ten wybór i rozkazał Malkolmowi w tej chwili wsiąść na konia i z eskortą zbrojnych ludzi udać się do Paryża, aby tam starać się odebrać pierścień od samej królowej. Gdyby nie mógł widzieć się z nią na osobności, mógł się zwierzyć staremu Sir Ludwikowi Robsart, pełniącemu na jej dworze obowiązki ochmistra i posiadającemu jej zaufanie. Zresztą nikogo nie miał przypuścić do tajemnicy i powinien był starać się powrócić jak najspieszniej do Vincennes.

Malkolm z najwyższą przykrością przyjął to polecenie bo już nie chciał widzieć Klarymundy. Nie sposób było wszakże opierać się rozkazowi ukląkł więc tylko zaledwie mówiąc krótką modlitwę tak był pomieszany, i czem prędzej powrócił wybrać się w drogę nim król Jakób mógł postrzedz jego nieobecność.

— Bez rozgrzeszenia! ślubem nie związany! myślał. Wyprawiony w to miejsce bez mojej woli! Cokolwiek się stanie nie będzie to moja wina!

Wśród trwogi i niepokoju, panie dworskie oczekiwały w Paryżu wieści o zdrowiu króla. Wiedziano nadto dobrze jaki musiał być koniec choroby, i nikt oprócz królowej nie śmiał żywić nadziei. Katarzyna była zanadto płochą i sobą zajęta żeby pojąć niebezpieczeństwo jakie zagrażało jej mężowi, a mniej jeszcze rozumiała żeby jako żonie należało jej się otaczać go w chwili cierpienia, swemi staraniami. Matka jej nigdy nie zajmowała się królem Karolem wśród jego niemocy umysłowej i fizycznej, i za jej przykładem, królowa uważała pieczę nad dzieckiem i mężem, jako nie zgadzającą się z jej wysokiem stanowiskiem.

Ale kiedy późnym wieczorem nadeszła nieszczęsna wiadomość, spokoju Katarzyny znikła. Wyobraźnia

jej nie była dość żywą żeby mogła sobie przedstawić to na co oczy jej nie patrzyły, gdy się wszakże dowiedziała że straciła królewskiego małżonka któremu zawdzięczała krótko trwały blask życia nie gdyś smutnego i opuszczonego, rozpacz jej nie znała granic; wśród łez swoich przywoływała ciągle swego króla i pana, swoją światłość, swoją miłość, bolejąc z gwałtownością niespodziewanego sieroctwa.

Według zwyczajów dworskiej etykiety, zamknęła się w swej komnacie, wybitej kirem gdzie światło dżienne nie mogło się wcisnąć przez gęste czarne zasłony i tam leżała na łożu, otoczona paniami i pannami dworu na które mnogie świece woskowe rzuciły popure światło, tak jak małżonek jej leżał w kaplicy w Vincennes, tylko nie wśród tak głębokiego milczenia bo chociaż wiele czasu sen jej zabierał, nieraz wsłuchując żywą toczyła rozmowę z matką lub z ulubionymi osobami. Często także, a szczególnie kiedy woli jej chciano się opierać, poddawała się namiętnemu żalowi, płacząc, jęcząc i targając włosy, nazywając się opuszczoną i wołając na swego króla, żeby do niej powrócił.

Nikt nie umiał sobie w tych chwilach z nią poradzić, matka nawet mówiąc że zaczynała szaleć jak ojciec, oddalała się, a wpływ Sir Ludwika Robsart stawał się niedostatecznym. Jedna tylko panna Luxemburska słodkim i poważnym głosem, siłą woli, i czułością obejścia, umiała ją uspokajać, przemawiając do niej prawie jak do dziecka, i zażegnując gwałtowność tych napadów łagodnym śpiewem.

Biedna Klarymunda bardzo strapioną jednak sama była na myśl o niebezpieczeństwie w jakim pozostawała, i kiedy młoda Lady Montagu jak teraz nazywano Alicję, wśród skarg swoich i żalów, zawołała: Ach! Klaro! co teraz się stanie z tą szlachetną obietnicą założenia klasztoru siostr św. Beggi? Klarymunda odpowiedziała ruchem pełnym smutku i po cichu wymówiła te słowa: *In principilus non confide*, które tak często są echem serca zawiedzionego.

— I cóż teraz uczynisz? zapytała Alicja, spoglądając na bladą twarz przyjaciółki zwróconą ku niebu:

— Będę usiłowała więcej ufać Bogu a mniej królom tej ziemi, rzekła składając ręce i zaciskając usta.

Za chwilę potem siedząc samotna pochyłona nad kościelną robotą, usłyszała zbliżające się kroki drzwi się otworzyły, i ujrzała tego którego najmniej pragnęła widzieć, młodego Lorda Glenuskie.

Zdziwiona nie okazała jednak pomieszenia i powstawszy powiedziała spokojnie: Pomyliliście się mylordzie. Wskażę wam pokoje hrabiny.

Ale Malkolm który daleko więcej od niej wyglądał zmieszany zawołał: Chwilkę tylko pani. Nie do brownolnie tu przybyłem, hrabina po mnie przysłała. Ale kiedy tu się znajduję, posłuchajcie mnie bo nigdy już was dręczyć nie będę gdyż lepsze uczucia mną owładnęły. O! przebaczcie mi!

— Dlaczegoż więc tu się znajdujecie panie? zapytała Klarymunda z tą samą powagą.

— Król mój wysłał mnie wbrew chęciom moim, z poselstwem do królowej, odrzekł Malkolm. Muszę tu zaczekać, inaczej byłbym dzisiaj spełniał pokutę za prześladowanie jakiego się dopuściłem względem was. Zaprawdę szczerze żałuję mego postępowania, i może niebo daruje mi moją winę jeżeli wy mi przebaczycie. Po tem co widziałem w Vincennes, wiem co to jest trzymać się prostej drogi i niestety! poznałem jak boleśnie jest z niej zbaczać. Pani jeżeli! nigdy już was

nie ujrzę, módlcie się za mną, jak święta za biednym grzesznikiem.

— Cicho rzekła Klarymunda, nie jestem świętą tylko poświęconą dziewicą. Ale dziękuję wam panie; wyswobodziliście serce moje z okrutnej trwogi.

Malkolm czuł się pocieszonym ośmielonym słysząc ją pierwszy raz odzywającą się do niego w tak przyjaznych słowach i dodał poważnie i stanowczo:

— Tak wyrzekam się moich zamiarów, wyrzekam się na zawsze, a teraz niech wolno mi będzie ucałować tę szlachetną i świętą rękę do której posiadania nie roszczyć sobie żadnych już nadziei.

— Rozsądniej może byłoby rozejść się prędzej powiedziała Klarymunda, bo przeczuwam że to spotkanie ułożonem zostało na naszą zgubę. Żegnaj was milordzie.

Jak się tego lękała, drzwi nagle się otworzyły i hrabina Jakóbina wpadła klaszcząc w ręce i udając wesole zdziwienie zawołała: Otóż są! Niech się Wasza Wielebność nie gorszy! Trudno rozłączyć gruchające gołabki.

— Pani powiedziała Klarymunda, zwracając się do niej z zimną powagą, dziękowałam właśnie milordowi Glenuskie że zechciał wyrzec się nadziei, które zawsze uważałam za próżne.

— Nie zr ozumiałaś go Klaro, powiedziała Jakóbina nigdy, młodzieniec ten tak się nie wyrażał. Nie, nie, milord dotrzyma obietnicy mnie uczynionej i na mnie też się nie zawiedzie.

— Pani, wyjął Malkolm, przybyłem z rozkazu króla Szkockiego.

— Tem lepiej zawołała Jakóbina; pomimo swej niechętniej wyniosłości dzielnie nam dopomógł; ale prze-gra swój zakład. Oto panna młoda, oto kapłan a nawet biskup, rzekła wskazując na Biskupa z Théroutenne który jej towarzyszył, ale dotąd zachował milczenie.

— Pani powiedział Malkolm czas i okoliczności nie są po temu.

— Co nam do tego? Król Henryk nie był nam ani ojcem, ani bratem, a Katarzyna niedługo będzie się śmiała i nazwie to dobrym żartem.

— Nie, rzekł Biskup więcej dbający o przyzwoitość, zaręczyny tylko mogą teraz mieć miejsce. Gdy one zostaną spełnione, uroczystość ślubna musi być odłożoną do stosowniejszej chwili, ale trzeba żeby natychmiast przyrzekli sobie wspólną wiarę.

— Wiarę moją komu innemu już oddałam, powiedziała Klarymunda.

— A ja dodał Malkolm, oświadczałem właśnie waszej siostrzenicy, że żałuję że niewiernym się stałem memu powołaniu i że ją tak długo dręczyłem.

— Jakto panie, zawołał Biskup, czy tak się obcho-dzicie z córką domu Luxemburskiego? Strzeżcie się! Znajdą się tacy którzy potrafią pomścić znieprawę wyrządzoną mu przez niedowarzonego chłopca, uwłaczającego czci rodziny.

— Nie dajcie się ulęknąć milordzie Malkolmie, powiedziała Klarymunda z błyskawicą w oku.

Ale Malkolm był niewyrodnym Stuartem i odpowiedział dumnie: Spotkam się z niemi milordzie jeżeli tego zajdzie potrzeba. Lady Klarymunda takie sobie obrała oblubieńca że świętokradztwem byłoby kusić się o jej rękę.

Biskup zbliżył się do Jakóbiny i niby po cichu ale dość głośno żeby go słyszano powiedział: Tak się młodzieńcowi narzucała, że sprykrzyła mu się, i teraz jej niechce.

Malkolm cały zapłoniony gniewem ale czując jakąś

nieokreślona nadzieję że obowiązkiem jego było teraz poślubić Klarymundę, odpowiedział tylko niewyraźnym wykrzyknikiem, ale ona zawsze spokojna wyrzekła:

— Wasza Wielbność i pani hrabina, wiedzą dobrze iż tak nie jest. Jestto tylko pogrożka.

— Cicho rzekł Biskup, i posłuchaj mnie. Jeżeli ten młodzieniec oświadczywszy że gotów jest cię zaślubić teraz się cofa, tem gorzej dla niego; ale jeżeli się uleknie twoich fochów, zjawią się tu niedługo mój brat i księżę Burgundzki; niema już króla Angielskiego żeby się wtrącał do tego co do niego nie należy i Sir Godfryd odważniejszy jest od Milorda. Tydzień nie minie a będziesz zaręczoną Klarymundo Luxemburska jeżeli nie milordowi Glenuskie, to Sir Godfrydowi Burgundzkiemu.

— Nie zwracaj się do mnie, powiedziała Jakóbina zdziwiłaś mnie już twoim uporem. Potrafię tylko dobrze cię strzedz. Domyślam się już od kilku dni że knujesz jakies śpiski z Lady Montagu, ale teraz nie uda ci się uciec jak wtedy gdy byłam tak nieroztropna że sama ci do tego pomogłam.

Malkolm i Klarymunda stali o kilka kroków od siebie tak jak ich zastano; ona z oczami zamkniętymi, z rękami złożonymi zdawała się po cichu wołać o pomoc do Nieba.

— Wybieraj dziewczyno! rzekł rozkazująco Biskup. Poślubisz tego młodzieńca w tej chwili, albo Sir Godfryda za tydzień.

— Wola moja nie może przystać na złamanie dziesiąj mojej obietnicy, aby tego później nie czynić, powiedziała Klarymunda głosem zaledwie dosłyszonym.

Nagle postanowienie zawładnęło umysłem Malkolma. Z twarzą okrytą żywym rumieńcem wzruszenia przystąpił do niej i powiedział głosem cichym i drżącym:

— Zaufajcie mi pani.

Biskup uważając to zbliżenie i widząc jak nieugięty wyraz twarzy Klarymundy stawał się łagodniejszym zatrzymywał Jakóbinę, zawsze gotową do gwałtu i pogroźek.

Malkolm mówił głosem przytłumionym i błagającym, uroczycie: Powierz mi twą wiarę, pani a ja ci ją oddam gdy będziesz wolną.

A ona głosem zaledwie dosłyszonym wyszeptala:

— Czy tak rzeczywiście uczynicie?

— Niechaj mi Bóg dopomóż! odparł Malkolm a oczy jego niezwykłym ogniem zajaśniały i podniósł głowę z dumą i powagą swego rodu.

— Niebo was zesłało rzekła Klarymunda oddychając swobodnie i podając mu rękę, jak gdyby wraz z nią powierzała mu wiarę szlachetnej niewiasty, a Malkolm ją przyjął z dziwnym uczuciem boleści i rozkoszy. Zdobył jej zaufanie, ale utracił wszelką nadzieję ziemskiej radości.

Hrabina z tryumfem zawołała: Nareszcie przyszli do rozumu. Dała już pokój szalonemu oporowi!

Malkolm uczuł się mężem dojrzałym kiedy jako opiekun Klarymundy wystąpił trzymając ją za rękę.

— Siostrzenica wasza, księżę Biskupie rzekł, zezwala na zaręczyny zemną; wzruszenie prawie oddech mu tamowało, ale spokojnie ciągnął dalej, pod warunkiem iż rzecz zostanie tajemnicą i małżeństwo nie będzie spełnionem dopóki żałoba po królu Henryku się nie ukończy, widząc że dreszcz przeszedł Klarymundę dodał jeszcze za rok dopiero kiedy dojdę do lat.

— Dziwny to narzeczony! powiedziała Jakóbina, ale może dobrze czynicie poddając się jej warunkom: Czy się Wasza Wielbność zgadza?

Biskup rad był że walka z siostrzenicą skończyła się nie zupełnie na jego niekorzyść i pragnął tylko jak najprędzej ukończyć sprawę

Układ zobowiązujący Malkolma do przyjęcia pewnej kwoty pieniężnej w kilku terminach jako wartość dóbr Klarymundy pod zaręczeniem księcia Burgundzkiego i Jakóba króla Szkockiego, od dawna był podpisany i stwierdzony przyłożeniem pieczęci, więc nie było powodu opóźniać zaręczyn.

Te jednak daleko uroczyciej się odbywały w owych czasach jak za dni naszych; w oczach prawa cywilnego stanowiły już one małżeństwo, chociaż błogosławieństwo i sakramentalne słowa dopełniające religijnego obrządku czyli druga jego część, odłożone bywały do chwili w której uroczysta ceremonia miała miejsce. Narzeczeni byli tak nierozzerwalnym połączeniem że żadne z nich ślubów małżeńskich nie mogło zawierać za życia drugiego, jeżeli dyspensy papieżkiej nie otrzymali, to też gdy szło o tajemne spełnienie małżeństwa, niczego więcej nie wymagano.

Biskup zawezwał więc swego kapelana, aby za świadka służył i oboje młodzi w grubej żalobie stanęli przed opiekunami i ślubowali sobie wzajemnie wiarę; włożono im pierścienie narzeczonych i połączono ich ręce. Ręka Malkolma nie zdrząła gdy uczuł z jak spokojnem zaufaniem Klarymunda oddała mu swoją.

— Biedne dzieci! nie wiedzą zawołała, głośno się śmiejąc hrabina, że pocałować się powinni.

— Czy zezwolicie na to, siostrzo moja? zapytał Malkolm, z zapłoniem licem.

— Bracie mój i opiekunie! odpowiedziała Klarymunda podając blade czoło.

W tej chwili wbiegła do pokoju Alicya Montagu wołając na głos: Klaro! Królowa... O pani wybaczenie ale przysłano mnie po Klarymundę. Królowa w okropnym stanie się znajduje. Sir Ludwik nie może jej odebrać pierścienia. Boją się żeby jak ojciec nie dostała napadu obłąkania! Chodź.

Klarymundana na te słowa pośpieszyła za Alicyą która, chwytając ją za rękę powiedziała.

— Znowu cię dręczyli! Lękam się tego kiedy zobaczyłam tego nieznośnego Szkota, ale o Klarymundo! co ci jest? zapytała głosem zmienionym.

— Powierzyłam mu moją wiarę lecz mi ją odda, powiedziała śpiesznie Klarymunda.

Lady Montagu nie na to nie odrzekła, a zresztą blisko już były komnaty królowej i dochodził ich uszów płacz jej namiętny.

Jakóbina gnana ciekawością, za niemi podążyła, i Malkolm także w wielkiej niespokojności, gdyż polecenie którego tajemnicy miał tak strzedz starannie zaczynało być świadomem wielu. Za przybyciem swoim do zamku przyjęty przez królowę i powtórzył jej słowa współczucia przesłane przez Jakóba, ale kiedy dodał że księżę Bedford prosił ją o oddanie pierścienia, Katarzyna zasępiła się na wzmiankę o niemiłym szwagrze; powiedziała że nic o tem pierścieniu nie wiedziała i zaczęła narzekać że księżę chciał odbierać biedną wdowę ze wszystkich jej klejnotów.

Malkolm udał się wtedy do Sir Ludwika Robsart który wiedział że pierścień znajdował się w jej posiadaniu i obiecał wydostać go jak najspieszniej a wtedy właśnie kiedy oczekiwał na to, wezwany był do mieszkania hrabiny Hennegawskiej. Nim tymczasem Sir Ludwik mógł na osobności pomówić z królową matka jej do niej przysłała. Przebiegła i zrzęczna widząc jak ważną rzeczą była pieczęć zmarłego króla namówiła córkę żeby się wyparła wszelkiej o nim wiadomości

i tak na nią potrafiła oddziaływać, że Sir Ludwik nie mógł wymóżyć na Katarzynię prócz płaczu i krzyków, których ani on ani panie dworskie nie były w stanie uspokoić.

W całym pałacu wiadomem już było że książę Bedford przysłał po pierścień którego królowa oddać nie chciała, może tylko nie rozumiano jeszcze wartości jaką posiadał ten pierścień.

Robsart obiecywał Malkolmowi że go niewinni z wszelkiego zarzutu działania nierozważnego, oskarżając tylko siebie, że zostawił na chwilę królową z Izabellą.

Tymczasem Malkolm, i inni panowie i panie czekali wraz z nim w przybocznym pokoju, słuchając głośnych żalów i szlochań, które jednak po trochu się uspakajały aż nareszcie doleciał ich tylko łagodny głos cichej pieśni Klarymundy i wszyscy lżej odetchnęli. Długo jednak jeszcze oczekiwali, a serce Malkolma dziwnem było uczuciem; nie był to ani tryumf ani zawód ale coś pośredniego nad czem górował spokój. W końcu dnia dopiero wyszła z sypialni królowej Klarymunda i zwracając się do dworskich pań powiedziała: że królowa się obudziła i widzieć je pragnie. Potem poszła do Malkolma, stojącego obok Sir Ludwika Robsarta i podała mu pierścień królewski; obydwa skwapliwie zapytali jak go otrzymała?

— Biedna niewiasta mówiła Klarymunda, zanadto była zmęczona żeby mózgi się oprzeć. Płacz i żal ją osłabił, i kiedy ze snu powstała była łagodną jak baranek. Przypomniałam więc jej tylko że błogosławionej pamięci król jej małżonek, byłby pragnął żeby zaraz zniszczyła ten pierścień, z obawy żeby go nie użyto na szkodę jej syna.

Niewątpliwem było że Klarymunda zwyciężyła siłą ducha której oprzeć się nie było podobna i Malkolm czuł się znów szczęśliwym na myśl że stał się opiekunem takiej istoty, że pod pewnym względem należała do niego oddając mu się z ufnością.

Robsart radził, w czem mu Klarymunda wtórowała, żeby Lord Glenuskie w tej chwili powrócił do Vincennes nie dopuszczając nowych knozań i nie dając królowej Izabelli czasu widzieć się z córką i natchnął ją żalem za oddanie pierścienia.

Malkolm pożegnał więc swoją narzeczoną i osmieszył się ucałować jej rękę mówiąc: Jakże wam szlachetna pani, podziękuję za tyle ufności!

Klarymunda odpowiedziała ze swym poważnym słodkim uśmiechem: Bogu was polecam panie! Nie chciała nawet mu przypomnieć żeby był wierny swemu przyrzeczeniu; zdawało jej się że byłoby to tylko zniewagą względem tego któremu zaufała, i dodała: Zawsze błogosławić wam będę za wyratowanie mnie z tak wielkiego niebezpieczeństwa. Żegnaj was! Obowiązkiem moim jest teraz modlić się za was i za waszą siostrę.

Trudno byłoby wyrazić jak to zaufanie Klarymundy i myśl o ciągłym zaparciu się siebie jakiego po nim wymagało, podnosiła umysł Malkolma i nowych sił mu dodawała. Zaniechanie wzniosłych celów uczyniło że się stał płochym i gonił za przyjemnością, jak kaźden młodzieniec zwyczajnego usposobienia; ale położenie w którym się znajdował, strzegąc świętej istoty i powołania jakie sobie obrała, kosztem wszelkich osobistych nadziei szczęścia i dumy, rozbudziło tę wyższą stronę jego ducha, która od tak dawna uspioną w nim była. Gdy oczekiwał w przedpokojach dopóki mu nie dadzą znać że koń jego i towarzysze gotowi, czuł w sobie nieznaną źródło radości. Klarymunda nie na-

leżała do niego, jak pierścień króla Henryka nie był jego własnością, ale zaufanie jej było droższym skarbem, i zdawało mu się że ścisłejszy węzeł łączy go z nią niż nawet z Liljaną. Co do tej ostatniej, sumienie jego było także zupełnie spokojnem, bo zaręczyny podobne oddaliły wszelką myśl o małżeństwie i czyniły prawdziwie nieodwołalnemi obietnice lat dziecięcych.

### ROZDZIAŁ III

#### Powrót do Anglii.

Król Jakób i książę Bedford smutni i znużeni siedzieli razem o zmroku, używając chwili spoczynku. Pierwszy wiele godzin przepędził stojąc nieruchomy w kaplicy, przy zwłokach zmarłego przyjaciela, spoglądając na tłumy przychodzące odwiedzać potężnego pana i zwycięzce leżącego na śmiertelnym łożu. Panowie patrzeli w niemem i gorzkim zadowoleniu na tego który nie tylko upokorzył dumę rodową, ale żelazną ręką ukrucił ich gwałty i łupieżstwa, a biedni głośno oplakiwali ojca i przyjaciela który stawał w ich obronie przeciw okrutnym ciemnościom. Bedfordowi dzień cały zeszedł wśród pracy jaką musiał podejmować jako nieznaną jeszcze przedstawiciel rządu angielskiego we Francji, i dla obojwóch chwila ta westchnienia była pożądaną, i siedzieli w milczeniu, karmiąc się smutnemi myślami.

— Posel twój jeszcze nie powrócił? powiedział Bedford, budząc się z zamyslenia.

— Nielatwe to może było zadanie, odrzekł Jakób doznając także pewnej niespokojności.

— Żałuję powiedział po chwili książę, że poprostu nie napisałam do Robsarta. Młodzieniec słabego jest ducha i łatwo może się przemieszać.

— Wiesz że honorem moim za niego ręczyłem, odpowiedział Jakób.

Lekki uśmiech rozwarł wargi Bedforda.

— Wprawdzie rzekł Jakób, młodzieniec zawiódł mnie pod pewnym względem. Wśród życia obozowego złe prędzej od dobrego w nim się rozwinęło, ale zdaje mi się że posiada rzadki przymiot duszy, dla którego pokochałem go od razu i chociaż zdawał się długo uspić, to co teraz ujrzal, wielką zmianę w nim niechybnie spowodzi.

— Może to być powiedział Bedford, ale wolałbym był nie wysłać go tam gdzie ta niesforna hrabina Hennegawska może go namówić do dręczenia Lady Klarymundy.

Jakób doznał nieprzyjemnego uczucia przypominając sobie jak nakazał milczenie Malkolmowi zastawiającemu się właśnie tym powodem. Nie może być tyle hardą powiedział.

W tej chwili usłyszeli szybkie kroki, drzwi nagle się otworzyły i Robert Percy, zbrzydzony krwią, wpadł do pokoju błądy i zadyszany.

— Wybaczcie mości książę! Malkolm Stuart został napadnięty w lesie przez rozbójników i ciężko raniony.

— Zabity? Umarły? zawołali oba książęta, powstając na tę straszną wiadomość.

— Żyje jeszcze; złożony jest w kaplicy, i prosi was mylordzie żebyście raczyli do niego się udać, powiedział Percy. Błagał nas żebyśmy go złożyli tam u stóp króla, a że był to najłatwiejszy sposób znalezienia księdza uczyniliśmy jak pragnął.

— Biedny mój Malkolm! westchnął Jakób, i wraz z Bedfordem pospieszył do kaplicy.

Po drodze Percy udzielił im niektórych szczegółów

Wyszliśmy powiedział, w liczbie sześciu czy siedmiu, żeby odetchnąć świeżem powietrzem w lesie, po całym dniu spędzonym w kaplicy, i nie daleko się zapuściliśmy kiedy usłyszeliśmy hałas i szcęk broni. Pobiegliśmy w tę stronę i ujrzeliśmy kilkunastu zbrojnych ludzi na koniach a wśród nich biednego Glenuskie leżącego na ziemi i walczącego z całych sił z dwoma napastnikami. Wyciągnęliśmy szablę i rzucili się na nich, a podle tchórze nie porachowawszy nawet wielu nas było, uciekli, ale wprzód jeden z nich śmiertelnie ugodził biednego Stuarta. Krew ciągle płynie z jego rany i nic nie mówi, powiedział tylko że wdzięczny nam jest iżśmy na czas przybyli i prosił żeby mógł się widzieć z księdzem Bennet i z księciem.

Na te słowa doszli do drzwi kaplicy, gdzie wzruszenie sprawione przybyciem rannego przerwało śpiewy żałobne. Przecisnąwszy się przez tłum białych i czarnych zakonników, król i książę ujrzeli nie daleko trumny króla Henryka, oświetlonego rześmym światłem świec woskowych, leżącego Malkolma. Ubranie jego było zabrodzone krwią obficie płynącą z rany na piersiach; błądź jego twarzy podniesiona jeszcze była czarnymi włosami i żałobnym, płaszczem, ale oblicze to jaśniało niewymowną radością i spokojem gdy książę Bennet wraz z innym kapłanem udzielali mu ostatnich Sakramentów w streszczonej formie na jaką Kościół zezwala w przypadkach nagłej i gwałtownej śmierci. Książęta stanęli na boku, ale Malkolm niedługo powiedział: Dziękuję Bogu! W miłosierdziu Jego ufność miałem że mi przebaczy! Niczego już nie pragnę jak ujrzeć księcia.

— Jestem tutaj, drogi chłopcze rzekł Bedford, klękając przy nim gdy Jakób stanąwszy po drugiej stronie przemawiał do niego z czułością, ale Malkolm odpowiedział mu tylko ściśnieniem ręki i zwrócił się do Bedforda, któremu podawał pierścień.

— Za drogę was kosztuje, powiedział Bedford smutnie.

Przeniesiono potem Malkolma na łożo od którego nieodstępował król Jakób, rany nie okazały się śmiertelne tylko krwi ubytek spowodował omglenie, pielęgnowany wszakże przez swego króla i uspokojony na sumieniu, młodzieniec wkrótce siły odzyskał z opowiadania jego domysłano się że hrabina Hennegawska w zmoście z królową Izabellą chciała kosztem życia jego odzyskać pierścień który uwoził, kazała go bowiem wprawdzie zawołać do siebie i pół żartem a pół gwałtem prawie chciała go zabrać a wreszcie widząc że Malkolm do proźb jej się nie skłaniał, chciała aby przynajmniej przyłożył pieczęć tę do kilku aktów które pragnęła przez to uczynić ważnymi. Malkolm gwałtem prawie z rąk jej się wyrwał i dopadł koni wraz z trzema ludźmi swemi, gdyż reszta ich porozchodziła się po mieście. Książę Bedford i król Jakób wysłuchali z zajęciem tego opowiadania oddając hołd należny przytomności umysłu i zręczności młodzieńca, który opowiedział im na wzajem o zaręczynach swoich z Klarymundą i celu ich, do którego spełnienia poprzysiął jej dopomóc. Król Jakób widząc że nic nie podoba przeciw postanowieniu Malkolma umilkł, lecz Patryk Drummond niemógł pojąć uczuć jego i próbował namawiać go jeszcze aby Klarymundę wprowadził jako panią do zamku Glenuskie sądził bowiem że dałaby się jeszcze ubłagać i przyjąłaby rękę i serce jego. Ale Malkolm już zanadto długo czuł błogi spokój skutkiem postanowienia swego aby chciał go utracić a ufność i spokój Klarymundy którą widział jeszcze przed powrotem do Anglii pełną dla siebie wdzięczności była mu

najmilszą nagrodą. Gdy przeprowadzono zwłoki króla do Westminsteru i gdy wszyscy należeli się na dzień angielskiej wstąpił do uniwersytetu w Oksford dla dalszego kształcenia się do duchownego stanu.

#### ROZDZIAŁ IV.

#### Lew wyzwolony.

Rok i więcej upłynął; słońce marcowe świeciło i Malkolm stał na szerokich kamiennych schodach prowadzących do wielkiej sali gdzie kilka razy na dzień zgromadzali się uczniowie Uniwersytetu Oksfordzkiego. Błogo i słodko minęły dla niego te chwile, wśród szarych murów, przypominających mu Koldingham, wśród zajęć miłych umysłowi żadnemu wiedzy.

Wstawał razem ze dniem, odmawiał pacierze i słuchał Mszy w kaplicy, pracował nad gramatyką i logiką, badał trudniejsze ustępy Ojców Kościoła lub je przepisywał w osobnej komnacie gdzie mieszkał sam przez wzgląd na swe stanowisko, gdy większa część studentów była w wielkiej sali; po tem następowały przechadzki po łąkach lub na rzece, nowe godziny nauki, modlitwa w kaplicy, i wieczerza ogólna. Łacińskie kazania prelekcje sławnych doktorów, publiczne rozprawy pomiędzy studentami, którzy tym sposobem zdobywali naukowe stopnie, urozmaicały spokojne, na wpół klasztorne życie, tak przypadające Malkolmowi do smaku, iż zdawało mu się że znalazł nareszcie ciche schronienie za jakim tęskniło jego serce.

Nauka objawiała mu się zdobną we wszystkie wdzięki przynęcające człowieka zdolnego i pragnącego wykształcić swe zdolności. Metafizyczny umysł szkocki znajdował dziwny urok w scholastycznych rozprawach a łatwość pojęcia i niezmordowana praca wywoływały zdziwienie i pochwały mistrzów. Gdy wspominał czas spędzony na dworze i w obozie, dziwił się że mógł kiedy coś przekładać nad obecne życie. Wśród wojny brak siły fizycznej nie dozwoliłby mu nigdy się odznaczyć, a tutaj czuł że innych przewyższał, tutaj prawdziwych doznawał rozkoszy. Nauka była jego żywiołem, jego rzeczywistym powołaniem. Nie bez pewnego znaczenia pierścień błyszczący na jego palcu zaręczył go z Klarymundą, ze *światłością świata*, bo chociaż nigdy dziewczyna nie mogła do niego należeć, była dla niego godłem tego czystego dziewiczego światła prawdy i mądrości, którego szukaniu chciał się poświęcić, aby posiadał ją, ujrzeć coraz nowe blaski. Ludzka natura z boleścią musiała się wyrzec pięknej i poważnej oblubienicy, ale cierpienie to czerpało ukojenie w uczuciu szlachetnego poświęcenia i w nadziei szacunku i wdzięczności jakie mu zdobywało. Wiedział że przebywała ciągle przy lady Montagu, czekając na chwilę gdy otwory się miejsce dla niej w szpitalu św. Katarzyny, wtedy to Malkolm zwróciwszy jej pierścień zaręczynowy, pragnął oddać Patrykowi Liljanę, i wraz z nią dobra swoje; potem przyjął niższe święcenia i udać się do Włoch, aby tam kształcić się w nauce języków i teologii dla której słynęły Padwa i Bolonja. Od dawna już nie miał wiadomości o Liljanie, ale nie niepokoił się tem, gdyż sposobności znoszenia się były rzadkie i pisywanie listów nie weszło jeszcze w zwyczaj. On sam kilka razy napisał i listy swe przesłał wraz z królewskimi ale sam nic nie odebrał od siostry.

Malkolm więc dnia jednego stał na schodach, po prostym obiedzie składającym się z ryb solonych, gdy ujrział dobrze mu znaną postać jednego z ludzi króla Jakóba, który zdejmując czapkę podał mu list ob-

64

wiązany czerwoną wstęgą i zamknięty królewską pieczęcią. Zawierał tylko te słowa:

„Do naszego wiernego i ukochanego kuzyna lorda Malkolma Stuarta z Glenuskie:

Drogi Bracie!

„Witamy was, i prosimy abyście nie tracąc czasu, do nas przybywali; żądamy waszej obecności, nie będąc już więźniami, lecz wolnym i swobodnym mężem. Jakób”

W zamku Windsorkim  
w dzień św. Dawida 1424.

— Wolnym i swobodnym! powtarzał Malkolm czyniąc wszystkie przygotowania do wyjazdu i żegnając towarzyszy i księdza Bennet. Dawno już nie widział swego króla, i radość jaką mu sprawiała wiadomość tak pomyślna dla niego i dla Szkocyi, przytłumiała wszelkie inne uczucie, ale układał sobie że sam niedługo powróci i że raz poznawszy światłość nauki, jej się poświęci i zostanie na zawsze jej niewolnikiem.

Serce radośnie mu biło, kiedy przejeżdżał pomiędzy wspaniałymi dzewami lasu Windsorskiego, i ujrzał szlachetny zamek. Pod sklepioną bramą oczekiwał nań Jakób wraz z Patrykiem i z Sir Niglem a król zarzuciwszy ręce na jego szyję zawołał: Uściskaj mnie bo króla a nie więźnia całujesz. Za sześć tygodni odetchniemy powietrzem gór i wrzosów rodzinnych.

— A dlaczego nie za miesiąc? zapytał Malkolm serdecznie odpowiadając na królewskie uściskania.

— Dlaczego? Dlatego że pieniądze muszą być wypłacone i umowy podpisane; dla tego że post nie jest chwilą stosowną do zaślubin, i że w Marcu nie wystawia się południowych kwiatów na tchnienia północnych wiatrów. Tak Malkolmie niedługo ją poprowadzę do ołtarza! Czy sądziłeś że bez niej mógłbym do siebie powrócić?

— Nie sądziłem żeby radość wasza z odzyskania wolności, mogła być tak wielką milordzie, gdyby wam tego szczęścia brakło.

— A teraz Malkolmie, czy nie znasz Szkockiej dziewczyny mej krewnej, któraby mogła poprowadzić moją oblubienicę do ołtarza, i nam potem towarzyszyć do Szkocyi?

— Wiem o kim wasza królewska mość mówi, powiedział Malkolm uśmiechając się.

— Kiedy tak Malkolmie i kiedy niedaleko od granicy przebywa, może zechce po nią pojechać wraz z Sir Patrykiem, i przywieść nam ją na wesele, powiedział król.

Wiosenny ten dzień niezatarte wspomnienia rozkoszy pozostawił w sercu Malkolma. Król przechadzając się z nim po obszernych ogrodach Windsorskich, opowiadał mu wszystko co spowodowało jego oswobodzenie. Gwałty i nadużycia Waltera Stuarta i jego braci przebrały miarę cierpliwości ich ojca i innych szkockich panów; po długich tajnych układach i próżnych usiłowaniach aby od niego otrzymać z góry przebaczenie za wszystkie bezprawia, udali się wprost do rady rządzącej Anglią podczas małoletności króla. Szkocki naród z księciem Albany na czele naprawdę powoływał swego króla. Było warunek którego zawsze żądał Henryk V-ty, spełnienie nadziei jaką ciągle pocieszał się Jakób, i cierpliwość jego nareszcie odebrała nagrodę. Bedford radośnie przystał i Jakób był rzeczywiście wolnym, i czekał tylko na ślub swój żeby wyjechać do Szkocyi.

— Niechciałem o niczem ci mówić Malkolmie, do-

póki byłem jeszcze w niepewności, powiedział król; mogłoby to być przeszkodzić ci w naukach; ale tęskniłem za tobą zarówno kiedy nadzieją się krzepiłem jak kiedy lękałem się niepowodzenia.

— Mielicie Patryka rzekł Malkolm.

— Patryk jest dzielnym i wiernym przyjacielem, powiedział król, umysł jego przenikliwy i prawy; ale jest coś w tobie Malkolmie, co sprawia że do ciebie się zwracam szukając tego współczucia jakie zazwyczaj w żonie się znajduje.

Pomimo tego król i Patryk serdecznie się do siebie przywiązali chociaż ten ostatni niebędąc lubownikiem ksiąg znajdował bardzo przykre życie w Windsorze które król znosił tylko za pomocą pracy i nauki. Jedyną ich rozrywką była przechadzka mało ceniona od Drummonda ale której wdzięki Joanny Beaufort nie mało uroku dodawały dla króla.

— Panna Luxemburgska powiedział Jakób, gości terazw Middleham, u lady Montagu, moglibyście tam wstać pić po drodze na północ. Jeżeli otrzymasz jej zezwolenie dobrze by było abyście się pobrali razem z nami

— Nigdy panie. Nie śmiałybym nawet mówić o tem.

— To bardzo pięknie, ale Malkolmie masz przecież pewne zasługi. Dziesięć razy jesteś więcej wart niż kiedy tobą pogardzała. Gdyby kobiety nie były w ogóle pozbawione rozumu, przekładałyby cię nad zwykłych zawadyków i jeżeli panna się namyśliła że szkoda jej opuszczać świata...

— Panie błagam was nie mówcie o tem. Złamałbym moją przysięgę wspominając o podobnych rzeczach.

— Do niczego cię nie zmuszam chciałbym tylko tam się znajdować żeby dla braku słówka w porę powiedzianego, wszystko nie zostało straconem, a czas wielki już ukończyć tę sprawę. Nadeszły listy od biskupa z Thérouanne który żąda żeby małżeństwo wasze zostało spełnionem nim powrócimy do kraju.

— On tu nie może jej osiągnąć, powiedział Malkolm.

— Nie, ale jego upominania mogą naruszyć twój honor i źleby było gdyby rodzina tak można jak ród Luxemburgski, oskarżała cię o brak wiary względem swej córki.

— Malkolm się uśmiechnął: Małoby mnie to obchodziło. Chętniebym zniósł jaką przykrość dla niej.

— Ziemskie nasze umysły nie są zdolne z tak szczytnego stanowiska zapatrywać się na rzeczy, powiedział Jakób ironicznie. Może widok pięknych oczów do mniej idealnych wyobrażeń cię sprowadzi.

— Raz uległem pokusie panie, rzekł Malkolm rumieniąc się, ale gdybym nie wiedział że świętość jej myśli strzeże tej ziemskiej urody, nie ujrzałbym jej nigdy.

— A ja stanowczo ci to nakazuje powiedział król niedługo nie zabraknie mi poddanych, ale dopóki mam ich tylko pół tuzina, muszą się mnie słuchać. Żądam więc żebyś pojechał do Middleham a resztę pozostawiam natchnieniu tej chwili.

Król wesoło mówił i z tak widoczną zyczliwością, że Malkolm upokorzony wspomnieniem dawnych błędów, nie śmiał więcej się zarzekać. Jakób w uroczej chwili wieńczącej czystą i niewinną miłość której był bohaterem, uważał podobne przywiązanie za najwyższą nagrodę życia ludzkiego, i niedowierzał wszelkim nadziemskim wysileniom, będącym za zwyczaj udaniem lub naśladownictwem; wspomnienie jednak przestróg Hen-

ryka nie dozwoliło mu jednak więcej nalegać i mówił dalej o swem szczęściu, o swych nadziejach spoglądając na walki jakie nań mogły oczekiwać z ufnością zahartowanego ducha, nie żalując nawet tych lat niewoli, chociaż z niemi mienią pierwszą młodość.

— Czemże byłbym, mówił, wychowany wśród nieładu panującego w Szkocyi? A nawet gdybym tam powrócił w pierwszych latach mej młodości, bez doświadczenia i siły, pierwszy lepszy byłby mną zawładnął, i może nigdybym nie zyskał tych lat poświęconych nauce, i nie oglądałbym tej ostatniej wyprawy do Francyi, i Henryka na wojnie rządzącego swem państwem.

Król już naprzód kazał wszystko przygotować, i wyjazd Malkolma i Patryka mógł rychło nastąpić. Gdy zbliżali się do zamku Middleham, gdzie odwiedziny ich były już zapowiedziane, Sir Patryk ustroił się w najświetniejsze szaty, i zgorzzył się niemało widząc jak Malkolm ubrał się w czarną wełnianą suknię z kapturem, podbitą futrem z królika, jaką nosił w Oxfordzie i stał się podobnym, do wędrującego biednego studenta. Ale Malkolm postanowił że jeżeli się ukaże Klarymundzie to nie w innym ubraniu i tak przyjechał do Middleham, gdzie przyjęła ich stara i poważna hrabina Salisbury przy której gdy mąż jej powrócił do Francyi bawiła Lady Montagu, z trzechmiesięcznym synkiem. Obok nich stała Klarymunda, i gdy Malkolm zgąwszy kolano, poniósł do ust rękę którą mu podawała, uczuł jak gorący rumieniec wystąpił mu na lica, a głos jej i spojrzenie obudziły w sercu te pragnienia dowodzące jak mówił Jakób, że należał jeszcze do liczby śmiertelników. Rad był prawie że etykieta nakazywała mu poprowadzić do jej krzesła starą hrabinę która pilnie przestrzegala, aby nieprzystępywano w jej obecności żadnej z form ceremonjalnych używanych w owych czasach.

Alicya Montagu miała wątplą powierchowność młodej matki, ale nie była to już strwożona sarneczka; godność i powaga pani domu nowego wdzięku jej dawały. Malkolmowi okazywała uprzejmość i serdeczność do których nie był z jej strony przyzwyczajonym i z dumą przedstawiła mu swego syna, przyszłego twórcę królów, którego pycha i niesforne żądze miały spowodzić zniszczenie na szczęśliwy ten i zamożny dom, i okryć żalobą i niesławą ostatnie lata łagodnej Alicji.

Nazajutrz była niedziela, stara hrabina nie mogła się wystawiać na chłodne marcowe powietrze, i Alicja prowadząc cały orszak gości i domowników do parafialnego kościoła, zawezwała do swego boku Sir Patryka, a Malkolma zostawiła przy Klarymundzie.

Niesmiałość jednak wstrzymywała słowa drżące na jego ustach i ona pierwsza przemówiła.

— Uczciwy i pobożny jest ten dom rzekła, pokój i ład w nim panują.

— I dnie wasze szczęśliwie tu mijają? zapytał Malkolm.

— Tak w tem eichem schronieniu mogę spokojnie oczekiwać przyszłości powiedziała Klarymunda, i gdyby nawet mąż jej powołał Alicję do Francyi, będę mogła pozostać przy Lady Salisbury dopóki nie znajdzie się dla mnie miejsce u św. Katarzyny i królowa do której mianowanie siostrzynie należy, nie raczy mi go przecznić.

— Czy macie jej obietnicę?

— Tak odpowiedziała Klarymunda, i mogę rachować że jej dotrzyma.

— I wy bogata dziedziczka przyjmiecie taką łaskę! zawołał Malkolm.

— Aby lepiej skruszyć wszelkie szcłatki pychy odpowiedziała. Ale wy milordzie, jakżeż dla was minął ten czas?

Malkolm, uszczęśliwiony widząc ją tak szczerze zajęta swym losem, opowiedział jej wszystko, a ona słuchała jak tylko Klarymunda umiała słuchać. W wyrazie jej twarzy było coś co zmuszało opowiadającego do odrzucenia podlejszego kruszcu, aby tylko najcześniejsze złoto jej ukazać. Malkolm zapomniał o tych szalonych nadziejach nawiedzających go jak piekельne pokusy, okazujące się świętym pustelnikom, i czuł tylko że ta którą kochał i uwielbiał, słuchała z zajęciem gdy mówił jakich niewypowiedzianych doznał rozkoszy odsłaniając tajniki nauki, jak kaźden krok naprzód ukazywał mu dalsze wyżyny, i jak pojął że światłością świata było światło mądrości którego badaniu chciał poświęcić całe życie, w uniwersytetach i księgach uczonych.

— Światło mądrości! powtórzyła Klarymunda może to być bo Chrystus jest Niebieską Mądrością, ale wątpię aby światłość świata znajdowała się tylko w szkołach i w księgach.

— Jakto? powiedział Malkolm. Niegdyś w szaleństwie moim sądziłem iż nią było światło chwały prowadzące rycerzy do sławy. Poznałem mój błąd, a teraz pani co znaczą wasze słowa? Gdzież szukać tego światła jeżeli nie w pismach mądrych i pobożnych ludzi?

— Zdaje mi się powiedziała Klarymunda że tam znajdziecie tę światłość, która także przyświeca wiernym rycerzom ale nie tam jedynie się ona znajduje.

— Gdzież więc? zapytał Malkolm. W zbroi czy w sukni zakonnej przysięgłem być wiernym sługą światłości świata.

— Światłością powiedziała Klarymunda wznosząc oczy do nieba, prawdziwą światłością świata, jest Błogosławiony Zbawiciel, Niebieska Mądrość Ojca, i słudzy jego znajdują Go; bo służą Jemu zarówno w obozie i w klasztorze jak na szkolnej ławie słowem gdziekolwiek narysowane ich drogi, byleby nie szukali własnej chwały, i nie składali sobie skarbów na ziemi.

— Zaprawdę rzekł Malkolm zasoby wyższej nauki złożone w ludzkim umyśle, są skarbami nie z tej ziemi.

— Mędrcy wasi uczą o duchu, o umyśle i o ciele powiedziała Klarymunda, przynajmniej tak mnie świadomej niewieście mówiono. Czyż prawdziwe światło Wieczności nie powinno świecić raczej duchowi niż umysłowi?

Malkolm zamyslił się i powiedział: Sądziłem że nareszcie wstąpiłem na prostą drogę.

— Nigdy inaczej nie mówiłam, zawołała Klarymunda. Szukać światła Bożego w dziełach świętych ludzi jest błogosławionem zadaniem. Błogosławionem jest kaźde zadanie do którego ono prowadzi, a gdy was to światło oświeci innym je ukazecie. Gdy skarb znajdziecie rozdacie go tutaj i złożycie go dla siebie w Niebiosach.

Słowa Klarymundy były prawie zagadką dla Malkolma, ale w uwielbieniu swem dla niej zachował je w swem sercu, i przypomniał je sobie gdy podczas św. Ofiary widział ją klęczącą i wznoszącą anielskie oblizcze ku oltarzowi.

(d. c. n.)